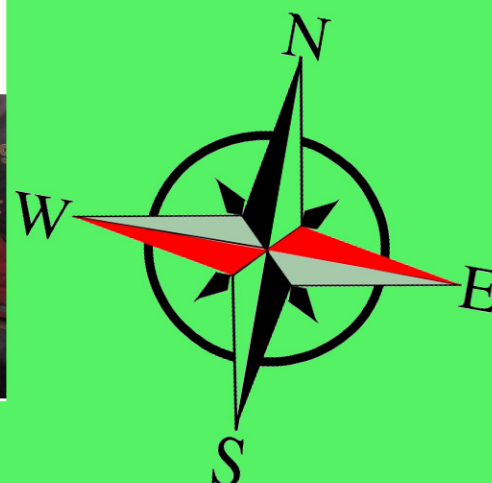
Jacek Pniewski, pasjonat zabytkowej techniki wojskowej, podróżnik po świecie, słowem - niebanalny jegomość z Kolonii Pożdżenice, gm. Zelów...









REPORTAŻE PRASOWE PRZEDRUKI, MATERIAŁY m.in. z Wykop.pl

Działo strzelało, piwo się lało, muzyka grała

Czołgiem do ołtarza

Jacek Pniewski poślubił Dorotę Ciałek z udziałem czołgu T-34/85, który przy tej okazji wystrzelił co najmniej trzy razy. Zajechali pod kościół takim właśnie cackiem. W dodatku towarzyszyło im trzydzieści transporterów i jeepów rozmaitego typu.



Tak zwany ruch militarny to przedsięwzięcie, które co prawda dopiero raczkuje, ale ma coraz więcej oddanych fanów. Młodzi ludzie ocknęli się bowiem na dźwięk słowa „wojna" i zafascynowani opowiadaniami dziadków, zaczęli zbierać stare hełmy i bagnety, odznaczenia i ordery, mundury, pistolety, karabiny, a w końcu stare czołgi, samochody, samoloty oraz inne wynalazki boga wojny. Nazbierało się tego wystarczająco dużo, żeby zacząć organizować zjazdy takich właśnie zapaleńców. Wówczas pionier polskiego ruchu militarnego, niejaki Jacek Pniewski, który miał dziewczynę o wdzięcznym imieniu Dorota, postanowił zorganizować

Międzynarodowy Zjazd Pojazdów Militarnych

w Zelowie, nieopodal Częstochowy. Owa dziewczyna właśnie stała się jego żoną.

Organizacja zlotu nie należała do przedsięwzięć najłatwiejszych. Głównie dlatego, że w najmniej odpowiednim momencie odwrócili się plecami wszyscy „szczerze oddani" pomagierzy. W rezultacie przyszły pan młody został jednoosobowym biurem zlotu. Przedsięwzięcie udało się sfinalizować przy udziale Urzędu Miasta Łask i kilku znajomych fanatyków jeżdżenia czołgami. Impreza zapowiadała się na historyczną, ponieważ do tej pory w Polsce tego typu pojazdy zjechały się tylko raz, w ubiegłym roku, do Bełchatowa.

Tym razem zjawiło się ich trzykrotnie więcej. Przybywały do Zelowa już od czwartku, żeby w pełnej sile ruszyć do ataku w sobotnie południe.

„Owsiak w mundurze" – tak ocenili Jacka koledzy, kiedy prowadził konferansjerkę podczas parady bojowej, która odbyła się podczas zlotu na rynku miejskim w Łasku. Do miasteczka militaryści przyjechali w sobotę przed południem, trafiając akurat w sam środek festynu ludowego, na którym królowało disco polo. Ale chłopaki w mundurach przerwali tę sielankę. Do miasta wjechał niemiecki transporter Sdkfz 251, tarmosząc do bólu asfalt swoimi gąsienicami.

Na trybunie honorowej stanął organizator zlotu i kilku miejscowych notabli. Przejazd kolumny bojowej skwitowano nie kończącą się owacją, podczas której Jacek Pniewski i jego zmilitaryzowani znajomi podrzucali do góry wiceburmistrza Ciebiadę (ledwo zipał). Wszyscy ludzie w mieście natychmiast pobiegli do Ośrodka Sportu i Rekreacji, gdzie uczestnicy zlotu zebrali się na boisku, by zaprezentować swój sprzęt. Pierwsza zjawiła się na stadionie

szarańcza dzieciaków

która miała towarzyszyć zlotowi już do końca. Obległy wszystko, co nadawało się do oblężenia. A było się czego uczepić, oj, było! Małolaty upodobały sobie szczególnie pojazdy gąsienicowe, czyli przede wszystkim wspomniany niemiecki oraz amerykański, zwany half trackiem.

Zainteresowanie dorosłych fanatyków pancerza zdobył amerykański pojazd terenowy HMMWV „Hummer", potężna maszyna, która w U.S. Army zastąpiła legendarnego jeepa Willysa. Przyjechał na nim do Łaska amerykański weteran wojny w Wietnamie, palący nieustannie fajkę. Jego głównym zajęciem tego popołudnia było sadowienie maluchów na przednim siedzeniu swojego pojazdu.

Było też kilka innych, równie ciekawych postaci. Austriackie małżeństwo Langów przyjechało na motorze armii chińskiej, o nazwie nie do powtórzenia nawet przez nich samych. Był też inny Amerykanin, Mark Buller z piechoty morskiej, chwilowo w cywilu. Z Uniwersytetu Łódzkiego ściągnięto pewnego Murzyna, który paradował w pełnym oporządzeniu i hełmie, wzbudzając zainteresowanie gawiedzi. Obaj panowie byli zresztą świadkami ślubnej ceremonii.

Dorotę – pannę młodą – oblegli dziennikarze.

– Mówiąc szczerze, nie byłam nigdy wielbicielką militariów. Kiedy poznałam Jacka,

wciągnęło i mnie

Marzyliśmy, żeby do ślubu pojechać czołgiem. I dziś wieczorem to się spełni.

Okazało się, że młodzi małżonkowie mają już czteroletniego syna imieniem Mieszko. Jeden z bardziej dociekliwych reporterów chciał się koniecznie dowiedzieć, czy Mieszko dostał już od taty pancerny rowerek. Odpowiedziano mu, że nie. Inni czołgiści delektowali się słońcem i wojskową grochówkę z garów kuchni polowej.

Reporterów, oprócz panny młodej, fascynowała amfibia typu Volkswagen KDF Schimmwagen, odremontowana tak precyzyjnie, że wyglądała jak nowa. Przyjechała też zupełnie cywilna skoda, przyozdobiona siatką maskującą. Miało to być symbolem militaryzmu w czeskim wydaniu. Był również jeep wzbogacony o oryginalny niemiecki karabin maszynowy MG-42.

Najmniejsze wrażenie robiły motocykle. Może dlatego, że wszyscy zdążyli już przejść etap drżenia rąk na widok Harleya, nawet jeśli to wojskowy Harley z uchwytem na karabin? Podobnie było z rodzimym transporterem typu BWP, który wszyscy dobrze pamiętają ze stanu wojennego. Po pokazie wszystko odbyło się zgodnie z przysłowiem, które mówi, że psy szczekają a

karawana jedzie dalej

Pojazdy wróciły do Zelowa, gdzie militaryści urządzili obóz wojenny. Gości witano przy bramie obozowiska. Wartę trzymali harcerze z gumowymi kałasznikowami w dłoniach. Na polanie znajdowała się „ścieżka zdrowia", specjalnie rozkopana dla samochodów terenowych.

Panna młoda, szarżując po polu jeepem kolegi, rozbiła sobie kolano. Na szczęście usterka nogi nie była ani poważna, ani też specjalnie widoczna.

Gdy czołg zaczął strzelać na wiwat ślepymi pociskami, wszyscy poczuliśmy się niczym na planie „Czterech pancernych". Co poniektórym wypadły nawet z rąk plastikowe talerzyki z żurkiem i grochówką. Innym zatrzęsły się w dłoniach kubki z piwem, które lało się tego dnia nieprzerwanie. Gdy działo grzmiało, muzycy z zespołu rockowego katowali perkusję w ramach rozgrzewki przed weselnym koncertem. Motocykliści zaczęli jeździć w kółko. Całość wyglądała jak scena z „Czasu Apokalipsy". To był znak, że młodzi szykują się do ślubu, czyli

poloneza czas zacząć

Żeby nowożeńcom było wygodnie, na czołgu zainstalowano specjalne siedzisko z wierzbowych pni i słomy. Kiedy weszli na wieżę, przebrani w ślubne kreacje, obległ ich tłum fotoreporterów. Były też kamery telewizyjne. Silnik zawarczał, dym poszedł z rur i orszak weselny wyruszył do kościoła w pobliskich Paździenicach.

Kilkaset metrów dalej zatrzymali go fantazyjnie poprzebierani miejscowi, którzy rozwiesili nad drogą „szlaban" z gatek i biustonoszy. Parze młodej wręczono flaszkę wódki i życzono wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Kilometr dalej był następny szlaban. Dla odmiany stacjonujący przy nim chcieli w ramach „wkupnego" nowożeńcom flaszkę odebrać. Nie udało się – czołg pojechał do samego kościoła już bez przystanku. Orszak starał się nie jechać po asfalcie, dla którego źle by się to pewnie skończyło. T–34, a za nim cała reszta, przemykali polnymi drogami.

Pod kościołem czekał już tłum. Ksiądz odebrał młodych prosto „spod lufy", a następnie poprowadził do ołtarza.

– O czym myślicie w tak ważnej dla was życiowej chwili? – zapytał.

– Myślę teraz o mojej mamie – powiedziała Dorota. Jacek wypadł bardziej „militarnie":

– Ja myślę o tym czołgu, który stoi przed kościołem.

– Od tej pory ogłaszam was mężem i żoną.

Orszak wrócił do Zelowa, gdzie odbyło się wesele, jakiego nie było w tej okolicy nigdy i pewnie nigdy już nie będzie. Czołgi jeździły, piwo się lało, działo strzelało, muzyka grała.

I ja tam byłem, miodu i wina co prawda nie piłem, bo nie było...

■ PETER BERGER

Zdjęcia DOMINIK GRYŻEWSKI

Czołg, nie czołg – tradycji „wkupnego" musiało stać się zadość





Pojazdy opancerzone zjeżdżały się do Zelowa przez kilka dni. Było ich w tym roku trzykrotnie więcej niż na ubiegłorocznym zlocie w Bełchatowie. ▶

Pojazdy gąsienicowe oblegała chmara dzieciaków. Tego dnia lufa armaty czołgowej zastąpiła drabinki na placu zabaw. ▼





Transoporter Sdkfz 251 miał być przekazany policji w Białobrzegach, która z kolei miała go oddać konserwatorowi zabytków. Tymczasem znalazł się w ślubnym orszaku.



Z mercedesa wysiadałoby się pewnie łatwiej...

Czołgiem do ślubu

O takim ślubie marzą nie tylko miłośnicy pojazdów wojskowych. 27-letni Jacek Pniewski i o 2 lata starsza Dorota Ciałek pojechali do kościoła czołgiem T-34. I był to najważniejszy punkt I Międzynarodowego Zlotu Pojazdów Militarnych w Poździenicach koło Zelowa.

T-34 przywieźli Maciej i Stanisław Kęszyccy, właściciele największej w Polsce kolekcji pojazdów militarnych i jednocześnie przyjaciele Jacka i Doroty. Czołg jechał na lawecie z Jabłonny, ale prawdziwy popis swoich możliwości dał jako weselna taksówka. Kęszyccy przywieźli jeszcze... O tym za chwilę, bo tu ślub na ósmą zamówiony. Na pancernej wieży z brzozowych tyk i słomy upleciono siedzisko dla młodej pary. Całe szczęście, że droga gruntowa, bo asfalt zostałby na gąsienicach. Za czołgiem ryk silników i pył spod kół i gąsienic. Transportery opancerzone, jeepy, motocykle. Kilkadziesiąt metrów od domu pancernej kawalkadzie zamykają drogę kalesony i majtki na sznurku. Pierwszą bramę czołg pokonuje litrem wódki. Odpala - Jacek Pniewski. Wśród setek uczestników militarnego zlotu, którzy przybyli na ślub nie brakuje ludzi miejscowych:

- Co to za ślub! Jedno wielkie cygaństwo! - wykrzykuje jakaś babka.

- Nie gadałabyś byle czego! Ważne, żeby im się w życiu ułożyło - protestuje druga.



Weselna taksówka z gracją podjechała pos kościół.



W drodze przed ołtarz.

Osiemnastowieczny drewniany kościółek ukryty wśród wiekowych dębów aż drży w posadach, kiedy zajeżdża młoda para. Do ślubu jeszcze parę minut. Więc słówko o Kęszyckich. T-34, wiadomo. Ale oprócz tego jest amerykański transporter opancerzony Half-Truck, relikt z II wojny światowej. Drugi półgąsienicowiec to czeska kopia niemieckiego SdKfz 251, bliski krewny słynnej Rosi z Pilicy. Czesi produkowali te transportery jeszcze długo po wojnie pod nazwą OT-810. Jest również kołowy transporter BRDM-1, radziecka ciężarówka Kraz ze 120-milimetrowym moździerzem na skrzyni i amerykańska Reo, używana podczas wojny wietnamskiej.

Kościółek jeszcze takiego ślubu nie widział. Kiedy zaczyna się msza, ksiądz prosi najpierw operatorów kamer i fotoreporterów, żeby zrobili trochę miejsca w prezbiterium. Proboszczowi Bolesławowi Dziurdzi, który przybył tu na parafię przed dwoma tygodniami z Łodzi, towarzyszą księża Jerzy Michalewski z Radomska i Zbigniew Jeż z Kodrębą. Obydwaj są kolegami państwa młodych. Za młodymi świadkowie: Mark Buller w swoim oficerskim mundurze lotnictwa Stanów Zjednoczonych i Murzyn w żołnierskim rynsztunku. Murzyn nazywa się Denis Dengo i pochodzi z Mozambiku. Studiował z Jackiem i Dorotą na Akademii Techniczno-Rolniczej w Olsztynie. No, ale prezentuje się jak marine!

Za oknem ryczy silnik T-34, ksiądz Michalewski zwraca się się do młodych:

- Powiedzcie, o czym myślicie w takiej chwili?

Dorota: *- O swojej mamie.*

Jacek: *- O czołgu.*

Drewnianym kościółkiem wstrząsa salwa śmiechu.

Ale wszystko jest serio. Maciej Kęszycki bierze na ręce czteroletniego syna Jacka i Doroty, który popłakuje w ławce.

Po mszy ksiądz Dziurdzia mówi, że w swojej 24-letniej posłudze kapłańskiej udzielił około tysiąca ślubów, ale takiego jeszcze nie miał.

Kiedy weselno-pancerna kawalkada dociera na miejsce zlotu, zapada już mrok. Młodzi tłuką kieliszki po szampanie o pancerz, tuż nad ich głowami krąży jak wielki nietoperz motolotnia.

W niedzielę rano nikt już nie myśli o ślubie. Po działce Pniewskich przeciągają tłumy zwiedzających. Jednak będzie jeszcze o ślubie, a konkretnie o jednym świadku. Mark Buller to przyjaciel Pniewskich i Kęszyckich. Mieszka pod Monachium, gdzie jest instruktorem w armii amerykańskiej i posiadaczem wspaniałej kolekcji pojazdów militarnych. Do Poździenic przyjechał wojskową amfibią Gammma Goat. Prawdziwy unikat. Został wycofany z wojska niedługo po jego wprowadzeniu. Maciej Kęszycki mówi, że to dlatego, że ma 200 punktów smarowania! Kto by to smarował na wojnie albo na manewrach? Inny zagraniczny gość, Niemiec Otmar Burkhardt, przyjechał spod Stuttgartu podstawowym pojazdem armii amerykańskiej, niemal nie spotykanym w rękach prywatnych. Hummer w wersji wojskowej, jest objęty ścisłym zakazem sprzedaży cywilom. Burkhardt ceni go sobie najbardziej spośród liczącej kilkanaście czołgów i transporterów kolekcji.



Początek weselnego przyjęcia.





Nie sposób wymienić wszystkie jeepy, willisy, uazy i motocykle, które zjechały z Łodzi, Warszawy, Rzeszowa, Wrocławia i Bóg wie skąd jeszcze. Za rok na działce Jacka Pniewskiego odbędzie się II Międzynarodowy Zjazd Pojazdów Militarnych. Szkoda tylko, że Jacek i Dorota wzięli już ten ślub na czołgu. Chociaż... Wianek rzucony z czołgu złapała siostra panny młodej.

SŁAWOMIR SOWA

Fot.: Janusz Dybkowski


Peter Mueller przyjechał balastową Tatrą


Można było dotknąć willysa na chodzie

Do Pożdżenic nie przyjechał tylko Rambo

Trzeci raz, ale pierwszy na tak kolosalną skalę, malutka Kolonia Pożdżenice pod Zelowem w województwie piotrkowskim stała się za sprawą Jacka Pniewskiego światową stolicą pojazdów militarnych. Dorośli chłopcy bawili się tu w trzydniową wojnę z udziałem jakichś 500 czołgów, wozów opancerzonych, amfibii, jeepów i motocykli.

Poligon przypomina pola Wietnamu. Żołnierze najbardziej zwariowanej armii świata, w hełmach różnych formacji, amerykańskich kurtkach moro, sznurowanych buciorach. Leje. Nogi po kolana w błocie. Niby – delta Mekongu. Umocnienia z worków i wieżyczka strzelnicza. Brakuje tylko Rambo i napalmu nie dowieźli. Co rusz ktoś rzuca petardę. Huk wybuchów, dym, śmiech, kilkujęzyczny gwar. Od butelek piwa odpadają kapsle. Najemnicy są już nieźle nabuzowani. Polowe kuchnie serwują grochówkę, że tylko ślinka leci. Można kupić koszulkę z nadrukiem, ubranie wojskowe, kubek z Sarajewa, nalepki, kiełbasę na gorąco z musztardą.

Tysiące aut z całej Polski. Ludzie przybywają całymi rodzinami obejrzeć ten jedyny w swym rodzaju front. Porządkowi nie nadążają z kierowaniem ruchem. Zelowska policja bezradna. Nogawki drą się o najprawdziwsze zasieki z drutu kolczastego. Trudno o miejsce do parkowania. Samochody stoją więc u chłopów na polach. W zeszłym roku gospodarze myśleli, że wybuchła prawdziwa wojna. Teraz już przywykli. Ten i ów próbuje szemrać, ale pół litra załatwia sprawę. Polowe kibelki dawno przepełnione. Siku? Gdzie popadnie. Tutaj rób, zasłonię cię.

Pniewski, pseudo „Jazzman" nabył pod Zelowem kawał ziemi, a do swej pasji przekonał nie bez trudu nawet Dorotę. Kilka lat przyglądała się tym jego wariactwom i choć mieli już dzieci, dopiero przed rokiem zdecydowała się na ślub. Do ołtarza, jakżeby inaczej, pojechali radzieckim czołgiem T-34. Ceremonii towarzyszyła zgraja warczących maszyn, bowiem do żeniaczki doszło podczas ubiegłorocznego zlotu. Ksiądz to się aż przeżegnał, gdy zobaczył świadka – Murzyna w mundurze amerykańskich marines. Dzieciakom Pniewski przynajmniej zabawek nie kupuje. Musi im wystarczyć tatusia żelastwo.


Oko cieszył T-34 przerobiony na hitlerowską „Panterę"

III Międzynarodowy Zlot Pojazdów militarnych przeszedł oczekiwania Pniewskiego, ale cóż poradzić, że takie wiadomości rozchodzą się po świecie lotem błyskawicy? Peter Mueller to szef niemieckich amfibiowców. Przyjechał balastową Tatrą z czterema napędami. Na platformie przytaszczył jeszcze amfibię MAF. Niemiec z Bremy, Ottmar Burchardt przybył czołgiem – amfibią M-13 na gumowych gąsienicach. Herman Pfauter z Santa Barbara w Kalifornii, weteran wojny wietnamskiej, przywiózł statkiem pochodzący z 1943 roku samochód pancerny GMC CCKW. Kosztowało go to furę pieniędzy i miesiąc czasu. Obiecuje, że za rok znów tu się pojawi, bo taki zlot to jedyna okazja do wymiany doświadczeń przez kolekcjonerów wojskowego sprzętu. Starszy pan w hełmofonie cieszy się niczym bobas w piaskownicy.

Są Maciej i Stanisław Kęszyccy, właściciele największej polskiej kolekcji wozów bojowych. Hitem zlotu jest ich SDKfz 251 D/7 – 43, wyciągnięty dwa lata temu z mułu rzecznego Pilicy. Renowacja potrwa parę lat, ale pojazd ruszy kiedyś o własnych siłach. Można dotknąć willysa na chodzie, wdrapać się na lufę ruskiego tanka, przymierzyć do karabinu maszynowego. Tylko, kurczę, amunicji brak.

Sensację budzi radiolokacyjna stacja wojskowa o masie 36 ton, służąca polskim żołnierzom w latach 60. Oko miłośników cieszy T – 34 przerobiony na hitlerowską „Panterę", grający w kręconym właśnie „Złocie dla dezerterów". Odpicowany transporter opancerzony OT 810 wygląda, jakby dopiero co opuścił taśmę montażową. Marianowi Laskowskiemu wielgachną jak byk amfibię sprzedało za 8 tys. zł Polskie Ratownictwo Okrętowe. Skąd przyjechał tym potworem? Z Darłówka, 600 kilometrów asfaltem. Aby złożyć swój lekki czołg pływający pt – 76 Henryk Woźniak z Gdańska potrzebował wraków trzech czołgów, ale efekt murowany.

Nowatorska konkurencja – wyścig pojazdów gąsienicowych. Godzina opóźnienia. Siąpi, zimno, ale gapie czekają. Bilety po 5 zł. Ryk silników nie do wytrzymania. Nawoływania załóg i przekleństwa. Chmury niebieskiego dymu. Ruszyły! Trzy okrążenia przez piaszczyste muldy. Stojący na wzgórzu ludziska widzą z przerażeniem, jak góra stali prze wprost na nich. Ciżba w panice ucieka. Tyle piwska te esesmany wychlały, kto wie, co im we łbie? U stóp wzniesienia czterej pancerni hamują z elegancją.

Nocne pokazy pirotechniczne. Poligon pustoszeje. Wojskowe hangary zapełniają się żołnierzami. Rozmowy do białego rana. Puste kontenery po piwie. Za rok spotkają się tu w jeszcze szerszym gronie.

Paweł Larecki
Zdjęcia Anna Frysz


Grigorij Saakaszwili jak żywy

Jacek Pniewski, zbieracz militariów z Buczku wzbogacił swoją kolekcję o samolot Mig-21

Gąsienice, płetwy oraz skrzydła

Mieszkańcy Buczku i okolic pamiętają go przede wszystkim z tego, że 6 lat temu jechał do ślubu czołgiem. Jacek Pniewski pojawia się na festynach prezentując część swojej bogatej kolekcji pojazdów militarnych.

Samolot Mig-21 dołączył do kolekcji Jacka Pniewskiego w ubiegłym tygodniu. Na razie stoi w hangarze Agencji Mienia Wojskowego i czeka na przewiezienie. Jacek Pniewski planuje to zrobić jak najszybciej. Nie będzie to dla niego trudne, ponieważ zawodowo para się specjalistycznym transportem pojazdów wielkogabarytowych.



Half Truck jest na razie ulubionym pojazdem Jacka Pniewskiego. Pojazd wzbudza też niemałe zainteresowanie buczkowian
FOT. JJ

33-letni buczkowianin zbiera pojazdy militarne od 15 lat. Pierwszy był motocykl z koszem M-72. Później pojawiły się transportery gąsienicowe, czołg T-54, czołg techniczny T-55, amfibia oraz wóz opancerzony Half Truck. Ten ostatni kosztował go wiele pracy. Jego części wydobył z bagna. Resztę robił własnoręcznie przez 3 lata.

– Dorabiałem każdą śrubkę i inne części zgodnie z projektem. Myślę, że mam obecnie jedynego half trucka, który jest sprawny w Europie – cieszy się **Jacek Pniewski**.

Jedynym problemem Jacka Pniewskiego są pieniądze. Dlatego nie jeździ często swoimi pojazdami. Czołg spala na 100 km średnio 450 litrów ropy, half truck 100 litrów benzyny na 100 km. Jednak i tak co jakiś czas w Pożdżenicach, gdzie ma prawie pięciokilometrowy poligon, organizuje zloty pasjonatów ciężkich pojazdów z całej Polski.

– Moim marzeniem jest powiększenie poligonu, by zorganizować pierwszy w Polsce rajd czołgowy. Ponadto chcę stworzyć muzeum pojazdów militarnych. Z pierwszego powodu kupuję ziemię od Pożdżenic do Buczku. Z drugiego kupiłem samolot – opowiada.

W muzeum, które Jacek Pniewski ma nadzieję otworzyć jeszcze w tym roku, oprócz Miga-21 będą stały czołgi i opancerzone pojazdy, które zniszczą się na poligonach jemu i jego kolegom. Kolejnym krokiem ma być utworzenie skansenu wojskowego, połączonego z gospodarstwem agroturystycznym.

– Chciałbym, żeby były w nim budki lęgowe dla ptaków. Chcę też hodować dzikie świnie. Kiedy uda mi się to zrealizować, jeszcze nie wiem – mówi Jacek Pniewski.

Buczkowianian ukończył technikum samochodowe w Sieradzu. Twierdzi, że zawsze fascynowało go wszystko, co ma silnik i jeździ. Swoją pasją zaraził żonę i 9-letniego syna Mieszka. Ma nadzieję, że 5,5-letnia Iga i 4-letnia Marysia także połkną bakcyla. (JJ)





W zwykłej wiejskiej stodole powstała kopia wozu pancernego sprzed ponad pół wieku

Half Truck zamiast mercedesa

Mężczyzna powinien zbudować dom i posadzić drzewo - mówi mądrość ludowa. Jacek Pniewski z Pożdżenic koło Buczku dodaje, że dobrze byłoby, gdyby zbudował jeszcze... wóz pancerny.

- Drzewko posadziłem niejedno - mówi Pniewski. - Teraz mieszkamy w domu tymczasowym, który mnie nie zadowala. Ten wymarzony zacznę budować za dwa lata. Skonstruowałem za to wóz pancerny. Może kolejność nie ta, ale dla mnie najważniejsza.

Wielu wzruszy ramionami na wieść o zbudowaniu wozu pancernego. Niby co to takiego? Tymczasem ten stalowy kolos powstał w niezwykle prymitywnych warunkach. Za halę fabryczną służyła zwykła stodoła.

- Wóz nazywa się „Half Truck". Powstawał trzy lata. To wierna kopia amerykańskiego pojazdu wojskowego, produkowanego w 1944 i 1945 roku. Waży 15 ton - wyjaśnia Jacek Pniewski. - To jedyny taki sprawny pojazd w kraju. Wiem, że jeden znajduje się w Muzeum Wojska Polskiego, lecz nie posiada silnika.

Pniewski zamontował jednostkę napędową o pojemności 6,3 l. Silnik zużywa 85 litrów oleju na 100 km. Skonstruowano go 60 lat temu. Trzeba przyznać, że jak na tamte czasy był niezwykle nowoczesny. Posiadał hydrauliczne smarowanie zaworów, dzięki czemu pracując na wolnych obrotach, był prawie niesłyszalny. To nie jedyny ewenement. Pojazd ma kierownicę, a nie - jak zdecydowana większość tego typu maszyn - dźwignie.

Half Truck - wyprodukowany przez Jacka Pniewskiego nie ma jeszcze niektórych zegarów, lamp, noktowizorów. - Za punkt honoru postawiłem sobie, że muszę zdobyć całą - jak mówimy - galanterię. I zdobędę ją, podobnie jak odpowiednie nity i śrubki. Potrzebowałem ich 150 kilogramów. Wszystkie zdobyłem w Niemczech. I wszystkie są oryginalne - podkreśla z dumą.

Pojazd ma lakier w kolorze piaskowym. Pniewski marzy jeszcze o plandece w takim samym odcieniu. - I tu mam problem, bo metr kwadratowy kosztuje 200 złotych, a ja potrzebuję około 100 metrów. Wierzę, że zdobędę i plandekę. Kiedy zrobię wszystko, to będzie prawdziwa „Kanada". Niech chowają się najlepsze mercedesy! Bo, czy taki mercedes ma gumowe gąsienice? A mój Half Truck ma! Gdybym się uparł, może jeździć jako... taksówka. Gdzieś na Ukrainie podobny jeździ. Można spróbować i w Łasku.

Jaka jest wartość rynkowa wozu pancernego? Zdaniem Pniewskiego około 50 tysięcy złotych. Dla niego Half jest jednak bezcenny. - Są w świecie kolekcjonerzy, którzy zapłaciliby większe pieniądze - zapewnia.

Jacek Pniewski ma w swoich zbiorach prawdziwy unikat. To mała desantowa amfibia pancerna z lat pięćdziesiątych na podwoziu jeepa. - W tak doskonałym stanie jest jedyną w Polsce. Na Zachodzie dostałbym za nią duże pieniądze - chwali się Pniewski.

Skąd zamiłowanie do militariów? Na to pytanie niezwykły kolekcjoner odpowiada: - Jedni zbierają znaczki, książki, motyle, a ja kocham czołgi, działa i wozy pancerne. To moje życie. Może kiedyś stworzę muzeum z prawdziwego zdarzenia? Chciałbym zrekonstruować amerykański czołg lekki Sherman z II wojny Światowej - błysk przekonania w jego oczach może tylko oznaczać, że zrekonstruuje.

DARIUSZ PIEKARCZYK

Half Truck w akcji. - Takiemu „potworowi" niestraszna żadna przeszkoda - zapewniają Jacek i Gniewko Pniewscy

FOT. DARIUSZ PIEKARCZYK











Królowie błota

Kilkadziesiąt pojazdów wzięło udział w zlocie pojazdów militarnych i terenowych, który odbył się w Kolonii Pożdżenice koło Zelowa. Po raz kolejny zjechali się tam miłośnicy militariów z całej Polski. Choć w tym roku organizatorzy, Dorota i Jacek Pniewscy, chcieli, by zlot był mały, prywatny, to jak zwykle cieszył się on sporym zainteresowaniem uczestników i widzów. Pojazdy można było obejrzeć, dotknąć, a nawet przejechać się nimi. Największe zainteresowanie wzbudzał czołg T-55, który jest własnością państwa Pniewskich i na codzień stoi na podwórku przed ich domem. Sporo amatorów miała też amfibia. Stałym punktem programu były uprawiane od lat „błotne" przejażdżki. Najważniejsze było, by pojazdy: czołg, amfibia, terenowe samochody przejechały przez specjalnie przygotowane bajoro. Największą radością dla pokonujących taką przeszkodę i licznie przybyłych widzów były „fontanny" błota bryzgające spod kół czy też gąsienic – im wyżej tym lepiej. Nie każdy samochód wygrywał jednak z grząskim podłożem. Wówczas zaczynała się „pasjonująca" akcja wyciągania pojazdu.

TEKST I FOT. MB

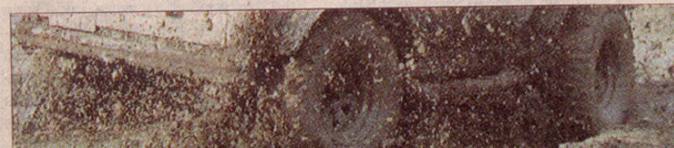












Bełchatów
TYGODNIK POWIATU BEŁCHATOWSKIEGO
7 dni
Dziennik Łódzki
TELE MAGAZYN
Rok III nr 11 (132)
15 marca 2002
1,50 zł
RAZEM Z DZIENNIKIEM ŁÓDZKIM -WIADOMOŚCIAMI DNIA I TELEMAGAZYNEM
wyd. M

Członkowie IFOR Klubu z Zelowa mówią, że nie zamienią 40-letniego gazika nawet na najnowszego mercedesa

Mają auta, chcą poligonu



W niektórych przypadkach czas napraw liczony jest w tygodniach, a jazdy autami jedynie w godzinach FOT. OR

Kiedy zagra motor 15-tonowego kraza, star 660 może tylko cienko akompaniować. Wtórują mu UAZ-y, suzuki samuraj i gazik. Dla piątki młodych ludzi z Zelowa i okolic, ryk silników wojskowych pojazdów jest najpiękniejszą muzyką.

– Wszystko zaczęło się – mówi **Sylwester Adamczyk**, prezes powstałego w Zelowie IFOR Klubu, zrzeszającego miłośników i właścicieli starych pojazdów terenowych – od Jacka Pniewskiego i jego pasji kolekcjonerskiej. Jednak podczas gdy on jest już na etapie miga 21 i budowy lotniska, mając za sobą czołgi, samolot, amfibie i wyjazd do ślubu na czołgowej wieży, ja z Witkiem Topolskim cztery lata temu zdobyliśmy pierwszego GAZ-a 69A. Wyprodukowany był w 1957 r., a jeździła nim kopalniana pomoc drogowa. Kosztował 900 zł.

Krzysztof Rogut, Paweł Czestkowski, Mariusz Czestkowski, Tomasz Kansy i Rafał Rakociński to, oprócz wyżej wymienionych, trzon klubu. Mają pięć terenowych pojazdów na chodzie. Dłubią nad przywróceniem do życia kolejnych. A to wcale nie jest łatwa sprawa.

– To żmudna, ale pasjonująca praca – wyjaśnia **Paweł Czestkowski**.

SŁAWOMIR ORLICKI

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

Mają auta, chcą poligonu

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Tylko pierwszego „gaza" udało się wyremontować i pomalować w trzy dni, bo gonił termin zbliżającego się Międzynarodowego Zlotu Pojazdów Militarnych, jaki odbył się wówczas w Zelowie.

Sprzęt zdobywają najczęściej od innych kolekcjonerów. Później zaczyna się nieraz bardzo długa pogoń za częściami.

Ideałem jest, by nawet najmniej ważna część, którą trzeba wymienić, nawet malutka śrubka w takim wozie była oryginalna. By nie tylko pochodziła z wozu tej samej marki, ale by także zgadzał się jej rocznik z datą produkcji pojazdu.

To kosztuje sporo nie tylko czasu. Jak, śmiejąc się, komentuje Mariusz Czestkowski – prawie każdy zakup odbywa się przy zachowaniu ścisłej tajemnicy finansowej przed członkami naszych rodzin, które zresztą są – przynajmniej póki co – jedynymi sponsorami.

Później okazuje się, że i tak godzina jazdy przypada na... tydzień napraw silnika. To ich jednak nie zraża, bo chyba w tej grzebaninie tkwi istota tej pasji.

Członkowie zelowskiego klubu mają już za sobą udział w rajdzie MUTT w Gliwicach, gdzie zdobyli nawet nagrodę „za najgłośniejszy wydech". Gazik po prostu nie miał tłumika.

W Zelowie najbardziej brakuje im prawdziwego poligonu z dołami, nasypami i wodą. Gotowi są urządzić go sami, jeśli tylko znajdzie się... jakieś, powiedzmy dwadzieścia hektarów nieużytków po przystępnej cenie.

Na razie jeżdżą i garażują samochody pod miastem, szczęśliwi, że nikt ich stamtąd nie przegania. (OR)



Mówią o nim Jazzmen...

„Są tacy co uważają mnie za wariata. Ich zdaniem, ktoś, kto na swoim podwórku gromadzi wysłużone pojazdy militarne nie może być normalny”.

DARIUSZ PIEKARCZYK



Jacek Pniewski – mówią o nim Jazzmen.

Kocham pojazdy wojskowe. Kiedy zaczęła się moja do nich miłość? W szkole podstawowej. Zdaje się, że od motocykla z przyczepą, takiego starego, rosyjskiego. Dziś już takich nie ma. Ale wtedy jeździły. A wie pan, że w moim zbiorze pierwszy był właśnie motocykl z koszem – M. 72. Ależ to była maszyna. Znudził mi się jednak. Sprzedałem go i kupiłem gazika, którym bodajże w roku 1989 pojechałem na piknik country do Mrągowa. Tam poznałem nie tylko ludzi mających podobną pasję, ale i żonę Dorotę – mówi **Jacek Pniewski**, organizator niedawno zakończonego III Międzynarodowego Zlotu Pojazdów Militarnych, który odbył się w Kolonii Pożdżenice koło Zelowa.

Po gaziku były kolejne eksponaty. W pewnym momencie na podwórku stało piętnaście różnych pojazdów. Obecnie „królową” kolekcji jest ponad 40 letnia amfibia, wyprodukowana w Związku Radzieckim, a będąca wierną kopią amerykańskiej GPA – używanej w czasie II wojny światowej. Amfibia jest sprawna. Wszystko w niej gra jak w szwajcarskim zegarku.

- Czasami wyjeżdżam nią na przejażdżkę. Ależ jest wtedy huk. Na całe Pożdżenice. Amfibia, amfibią, przyznam się że marzę o własnym czołgu. I będę kiedyś go miał. Wiem, że pod Sieradzem jest jeden niemiecki. Muszę go jednak zlokalizować i wydobyć. To trudna sprawa, ale nie ustąpię.

W życiu pana Jacka czołg zajmuje ważne miejsce. Przed rokiem pojechał owym „potworem” na gąsieniach do... ślubu. Tak, to nie pomyłka. Jako, że ślub był oryginalny, to i niecodzienni musieli być świadkowie. Jednym był amerykański pilot ze stanu Colorado, a drugim Mozambijczyk w mundurze żołnierza USA z czasów wojny wietnamskiej.

- O naszym ślubie do dziś mówią w Pożdżenicach. Orszak miał parę kilometrów długości. Same pojazdy militarne. Jeden za drugim, jeden za drugim. Ależ widok. Szkoda, że pana nie było – wspomina pan Jacek

Kiedy narodził się pomysł na zorganizowanie zlotu? Dwa lata temu. To już nasze trzecie spotkanie. Przyznam, że trochę mnie przerosło. Nie spodziewałem się aż tylu gości. Zjechali miłośnicy pojazdów militarnych z całego świata”.

„Gwiazdą” zlotu był Amerykanin **Herman Pfauter**, który jechał z Santa Barbara w Kaliforni ponad miesiąc swoim samochodem GMC CCKW, wyprodukowanym w roku 1943. W końcu dotarł do Pożdżenic.

- O zlocie wyczytałem zupełnie przypadkiem w prasie. Kocham pojazdy wojskowe i pomyślałem, że nie może mnie tutaj zabraknąć. Jestem na rencie. Mam czas, więc mogłem sobie pozwolić na prawie trzymiesięczny wyjazd. Ponadto chciałem zobaczyć Polskę. W Wietnamie walczyli ze mną żołnierze polskiego pochodzenia. Cieszę się, że dojechałem, że mogłem poznać ciekawych ludzi podobnych zainteresowaniach. Za rok znowu przyjadę – zapewnia Herman Pfauter.

Po raz pierwszy w Polsce można było obejrzeć czołg-ambibię na gumowych gąsienicach M-13. Maszynę przyprowadził z Bremy **Peter Muller.**

Na zlocie byli ponadto obecni przedstawiciele muzeów wojskowych z Monachium i Stuttgartu.

Prawdziwą kolekcję broni pancernej zaprezentowali **Maciej i Stanisław Kęszyccy** z Warszawy. Największe zainteresowanie wzbudził niemiecki wóz pancerny SDKfz 251 D/7 – 43. „To pojazd wyciągnięty z Pilicy w miejscowości Wyśmierzyce 1 września 1996 roku” – mówi Maciej. Jest w trakcie renowacji. Nie posiada silnika i dlatego prezentujemy go na platformie. To jednak tylko kwestia czasu i środków finansowych, kiedy wóz będzie na chodzie. Cały czas pracujemy nad tym. Obecnie „barujemy” się z silnikiem. Wóz trafiony był w boczną burtę. Jeszcze widać uszkodzenia. Na szczęście nie eksplodował materiał wybuchowy zostawiony wewnątrz przez załogę. Gdyby tak się stało nie byłoby co oglądać. Niewiele zostało wewnątrz rzeczy osobistych po Niemcach. Same, mało istotne drobiazgi. Udało nam się jednak ustalić, że wóz należał do 25 Dywizji Pancernej. Była to wersja saperska.

Kolekcjonerzy z Warszawy pokazali także czołg T-34 ucharakteryzowany na „Panterę”. „Machina” przyjechała do Pożdżenic wprost z planu filmowego „Złoto dla zuchwałych”. Jest także stacja radiolokacyjna „Dalmierz”, produkowana w ZSRR w latach sześćdziesiątych. Był to cud techniki na owe czasy. Obecny w Pożdżenicach egzemplarz skonstruowany na podwoziu T-55, przedłużonym zresztą o parę kół. Waży ponad 35 ton i ma 580 KM. Z włączonymi silnikami potrafi spalić ponad 600 litrów na 100 km!

Był także WZT – 1 – ratowniczy wóz zaplecza technicznego oraz transporter opancerzony OT 810 produkcji czechosłowackiej, będący jednak wierną kopią niemieckiego, produkowanego w czasie wojny. Żeby było ciekawiej OT 810 powstawał w tych samych zakładach.

Na motocyklu Zundap KS 600 z roku 1938 przyjechał **Patryk Mikicuk** spod Warszawy. „To niezwykle ciekawy motor. Niemcy uciekali nim w roku 1945 przed Rosjanami. Zabrakło im paliwa i porzucili go, uszkadzając zapłon. Do lat siedemdziesiątych przestał w stodole. Ojciec kupił go za grosze i proszę popatrzyć jak jeździ. Tu nic nie ma prawa nawalić.

Patryk wspólnie z ojcem mają nie tylko motocykl. Starocie to ich hobby. Posiadają między innymi samochód osobowy ZIS 110 Cabrio, wyprodukowanym dla **Józefa Stalina**.

Czołgi i pojazdy opancerzone wzbudzały oczywiście największe zainteresowanie. „Królowały” jednak jeepy. Najwięcej UAZ-ów i Gazów. Były i Land Rovery i Rovery.

Zainteresowanie zwiedzających wzbudzały oczywiście różnego rodzaju mundury – największe niemieckie z czasów II wojny światowej. - Skąd mam mundur esesmana? Kupiłem na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku – mówi **Krzysztof** z Warszawy.

„Na zlocie było ponad 300 różnego rodzaju pojazdów. Pojawił się nawet zabytkowy rower z czasów ostatniej wojny” – mówiła **Jolanta Szumowska**, szef biura obsługi zlotu.

- Wie pan co? Szczęśliwy jestem ze zlotu. Proszę zauważyć, że właśnie teraz, na naszych oczach zaczyna się legenda Pożdżenic. To coś pięknego. Ja zresztą powoli już myślę co to będzie za rok, a będzie się działo, oj będzie” – mówi pan Jacek, na którego wszyscy mówią Jazzmen, a to z racji miłości do tego rodzaju muzyki, którą udało się jakoś wkomponować w czołgi i wozy pancerne.



Maciej Kęszycki przywiózł do Pożdżenic także armatę dywizyjną ZIS.



Patryk Mikiciuk obok motocykla z roku 1938, który Niemcy zostawili z powodu braku paliwa uciekając przed Rosjanami.



„Wojsko” w okopach.

WIADOMOŚCI D

Dziś specjalny dodatek o wizycie Jana Pawła II

Nr indeksu 350869, ISSN 0867-2369. Rok X, nr 142 (2302)

Pod patronatem „Wiadomości Dnia" i „Nad Wartą"

Najazd na Łask



Uczestnicy zlotu pojazdów militarnych prezentowali się na zatłoczonym łaskim rynku znakomicie Fot.: Joanna Pawłowska

Tego na Jarmarku Łaskim jeszcze nie było. Przez plac 11 Listopada, gdzie w sobotę odbywały się główne imprezy święta Łasku, przeszły i przejechały tysiące osób. Zaczęło się od mszy świętej w łaskiej kolegiacie, z której na plac przemaszerowali w pięknych strojach członkowie Łaskiego Bractwa Strzelców Kurkowych, Orkiestra Dęta Łaskiego Domu Kultury w paradnych mundurach oraz dziesiątki mieszkańców Łasku i okolic. Na ich oczach uroczyście intronizowano nowego króla strzelców - Henryka Kuźniaka. Na wiwat zagrała orkiestra, której koncert został nagrodzony brawami.

Oklaski zagłuszył tupot nóg setek uczniów szkół z całej gminy. Nadchodził wielobarwny korowód. Młodzież była wspaniale poprzebierana. Pewnie dlatego, że nagrodą dla najlepszych było 2.000 zł od Rady Miasta w Łasku. Pomysły były bardzo oryginalne i dowcipne. Na przykład dzieciaki z Bałucza postanowiły nie czekać na dar obiecany przez Ministerstwo Edukacji Narodowej i przyjechały do Łasku własnym gimbusem wykonanym z kartonu.

Ledwie uczestnicy Jarmarku Łaskiego '99 zdążyli obejść wszystkie stoiska licznie rozłożone wokół rynku, ledwie obejrzeli program estradowy przygotowany przez Ośrodek Kultury w Kolumnie i ŁDK oraz pokazy mody w wykonaniu uczennic „Odzieżówki" i absolwentów Szkoły Modelek Regionu Sieradzkiego, a już policyjne „koguty" zapowiedziały kolejne oblężenie łaskiego rynku. Tym razem przez plac 11 Listopada przejechały pojazdy militarne. Były ich dziesiątki. O każdym kilka słów powiedział Jacek Pniewski, organizator międzynarodowego zlotu w Pożdżenicach.

(jp)

Pancerne podwórko

Czołgi, amfibie, uazy i motocykle zaparkowały wczoraj na podwórku rodziny Pniewskich w Pożdżenicach koło Łasku. Stare wojskowe wehikuły przyjechały na III Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych, który potrwa do niedzieli.

Sprawcą pancernego zamieszania jest Jacek Pniewski, zapalony miłośnik pojazdów wojskowych. W Pożdżenicach wszyscy przywykli, że zjazdy kolekcjonerów od trzech lat odbywają się przed jego domem. W ubiegłym roku gospodarze – Jacek i Dorota podczas zlotu wzięli ślub, a do ołtarza pojechali czołgiem T-34.

Na tegorocznym spotkaniu w Pożdżenicach zjawiła się międzynarodowa obsada. Ottmar Burkhardt przyjechał spod Stuttgartu. Jego czołg „113 M CR" ma 15 lat. Oprócz niego Burkhardt ma kilka innych pojazdów militarnych. Fascynuje się nimi od ćwierćwiecza.

– Dobrze, że mam tolerancyjną żonę – śmieje się szpakowaty, opalony mężczyzna. – Mam kumpli, którzy przez swoje hobby rozwiedli się z małżonkami. A ja jeżdżę na wszystkie pokazy i zloty. Wydaję na moją pasję wszystkie pieniądze.

Inny uczestnik zlotu, Herman Pfauter, przybył z Californi. Natomiast jego zabytkowa wojskowa ciężarówka przypłynęła statkiem z Santa Barbara do Stuttgartu. Stąd Pfauter przyjechał nią do Pożdżenic.

– Nie ma z nią żadnego problemu – mówi. – Chociaż liczy sobie już 56 lat jest świetnie zachowana. Potrafi pokonać 1000 km dziennie.



Podczas Zlotu Pojazdów Militarnych będzie można zobaczyć:
– w sobotę o 13.00 paradę pojazdów w Łasku, o 15.00 rajd terenowy, który początek będzie miał na Rynku w Łasku, o 19.00 wyścigi czołgów w Pożdżenicach,
– w niedzielę o 11.00 pokaz pojazdów w Zelowie.

■ **Amerykanin Herman Pfauter (z lewej) i Niemiec Otmar Burkhardt godzinami mogą rozmawiać o swojej pasji. Poświęcają jej cały wolny czas i pieniądze**
fot. MAREK KOWAL

Pfauter jest członkiem Klubu Miłośników Pojazdów Militarnych w Stanach Zjednoczonych. Co roku na dwa letnie miesiące przyjeżdża do Europy. Tutaj spędza czas na jeżdżeniu ze zlotu na zlot. Najbardziej ceni spotkania kolekcjonerów w Anglii.

– Nasze hobby jest jak każde inne. Nie kochamy wojny, nie nosimy karabinów – wyjaśnia. – Po prostu cenimy technikę wojskową. Ale wiele osób uważa nas za wariatów.

Właściciele zabytkowych pojazdów nie chcieli mówić jak stali się posiadaczami swoich wehikułów.

– A co ja pani powiem? Wiadomo, że gąsienicy do czołgu nie kupuje się w sklepie – żartował mężczyzna, który przytransportował spod Ciechanowa ważącą... 36 ton radziecką stację radiolokacyjną. – Jedno jest pewne. Na to idą niewyobrażalne pieniądze.

MONIKA MARCZYŃSKA



– Czołg w mojej wsi to dla ludzi chleb powszedni. Przyzwyczajałem ich do tego – mówi **Jacek Pniewski** z Kolonii Pożdżenice

Pancerny Jacek

MAGDALENA BUCHALSKA: Czołg na podwórku Jacka Pniewskiego to żadna nowość. Ale ludzi we wsi chyba trochę taka ozdoba dziwi?

JACEK PNIEWSKI: Miejscowych już nie. Przyzwyczaili się. Ogromne zainteresowanie wzbudza jednak u przyjezdnych. Właściwie to całą niedzielę mam „interesantów". Ludzie przyjeżdżają z dziećmi na wycieczki obejrzeć czołg. Zresztą nie tylko. Mam tu pięć poważnych pojazdów na gąsienicach, począwszy od dwóch czołgów – bojowego i technicznego, poprzez amfibię do artyleryjskiego ciągnika samobieżnego i halftrucka. Jak jestem w domu, chętnie służę informacją, a jeśli nie, to żona Dorota pełni funkcję kustoszki.

Czyli ma pan muzeum. Zdobywa kolejne starocie, ustawia na podwórku. I co, po prostu podziwia?

– Czołg jest normalnie użytkowym sprzętem, żadnym wrakiem czy mitem, ale pojazdem wykorzystywanym na takim moim prywatnym poligonie. Do niedawna jeździłem nim do pobliskiego namiotu, gdzie handlują ziemniakami, jabłkami i warzywami. Przejeżdżałem przez las, który jest moją własnością i już byłem w Zelowie. Sensacja była ogromna – ludzie jechali samochodem, patrzyli, a tu czołg stoi przy szosie. Zresztą zaraz jak kupiłem czołg, wydarzenie we wsi było ogromne. Zrobiłem nawet rajd po okolicy, żeby zakomunikować jego przybycie. Czołgi to niesamowite maszyny. I motocykle. To jak dotyk Boga, możesz posiąść swoją maszynę i pojechać nią gdzie chcesz.

Ludzie we wsi nie patrzą na pana trochę jak na...

– Swira? Nie, przekonali się. Przyzwyczajałem ich powoli sprowadzając kolejne pojazdy. Czołgi przyszły później. Jak nimi jeździłem po poligonie przy domu, to siadali na rowach i mieli widowisko. Teraz to już dla nich chleb powszedni. Przynajmniej coś się dzieje we wsi, dzięki temu co robię, ludzie mają odskocznię od codzienności. Ale jak jestem w trasie, bo zajmuję się zawodowo transportem, to nie opowiadam za dużo. Czasami kierowcy tirów mówią: popatrz, już mu odbiło od tej jazdy, mówi, że ma czołg. I śmieją się. Ale we wsi ludzie już się przyzwyczaili, bo czego ja tu nie miałem. Zresztą cała wieś pomagała mi jak organizowałem zloty pojazdów militarnych. A wtedy to dopiero się działo.

Na jednym z nich zdaje się poślubił pan swoją obecną żonę? I zawiózł ją pan do ślubu czołgiem?

– Sam nie wiem, kiedy i jak wpadłem na ten pomysł. Dorota za bardzo nie chciała, bo nie wierzyła, że się uda. Zresztą chyba trochę się bała, że się ośmieszy. Dlatego nikogo nie zapraszaliśmy na nasz ślub oprócz najbliższych znajomych. A przyjechały całe tłumy, gazety i telewizje. Świadków też mieliśmy nietypowych, aż nie byliśmy pewni, czy ksiądz ich przyjmie. Jeden był amerykańskim pilotem myśliwca z Kalifornii, a drugi to marines, prawdziwy Murzyn z Mozambiku. Na szczęście ksiądz, który dawał nam ślub, okazał się niesamowitym człowiekiem. Bardzo pomógł nam w tym, by cała ta ceremonia nabrała odpowiedniego kształtu. Nie powiedziałem mu do końca prawdy – że podjedziemy czołgiem pod kościół, ale on i tak wiedział, że coś się święci. Pożyczyłem stary, wełniany garnitur z wytwórni filmów, Dorota kupiła sobie za kilkadziesiąt złotych sukienkę w sklepie indyjskim. I wszystko się udało. A gości było ostatecznie tylu, że wykupili wszystkie artykuły spożywcze w sklepach w Zelowie.

Da się na militariach zarobić? Bo, że inwestować w nie trzeba, to nie ulega wątpliwości.

– Dało się, jak wypożyczałem je do filmów. Moje dżipy palili w „Demonach wojny". W filmie jeździło nimi wojsko polskie na placówce w Jugosławii. Miały napis IFOR. Po filmie został mi szablon do wykonywania tego napisu i malowałem go później na dżipach, które miałem u siebie. Dawałem wszystkim zdjęcia z Zamachowskim, Lindą, Pasikowskim. Ludzie się podniecali i kupowali auta ode mnie. I robiłem biznes. Hobby się samofinansowało. W „Słonecznej Włóczni" grałem żołnierza z Somali. Załatwiłem od kolegi Hummera. Raz był samochodem jednych wojsk, później lekko go przemalowali i był autem innych wojsk.

Tej adrenaliny wciąż jednak panu chyba za mało, skoro planuje pan wyciąganie czołgu z rzeki. To poważne plany?

– Każdy poważny zbieracz dąży do powiększenia swojej kolekcji. Chce mieć tych eksponatów więcej i lepsze. Jak dojdzie do konfrontacji na zlotach, to może się pochwalić tym, co ma. Moim marzeniem jest posiadanie czołgu niemieckiego. Chcę go wyciągnąć z Warty koło Sieradza. Kiedyś o pomoc w jego wydobyciu poprosiło mnie muzeum w Skarżysku-Kamiennej. Uważam jednak, że czołg z Sieradza musi zostać w tym regionie.

Czołg trafi do prywatnej kolekcji Jacka Pniewskiego?

– Chciałbym, żeby był on finalnym elementem w skansenie, który planuję otworzyć w Buczku. Prezentowałbym tam technikę wojskową. Trochę sprzętu już mam, może udałoby się ściągnąć kolejny, jakiś radar czy samolot, mundury i broń. Wystawy mogłyby być związane z historycznymi wydarzeniami. To bardzo realne plany. Muszę tylko przekonać tamtejsze władze, że to dla nich byłaby promocja regionu.



Jacek Pniewski z Kolonii Poździenice koło Zelowa jest miłośnikiem pojazdów militarnych. Gromadzi je od wielu lat. Był też organizatorem kilku zlotów militarnych, na które ściągali uczestnicy z całej Polski i z zagranicy. Planuje, że być może kolejny zorganizuje za dwa lata, w dziesiątą rocznicę swojego ślubu, podczas którego odbył się jeden z największych i najgłośniejszych zlotów pojazdów militarnych koło Zelowa

FOT. MAGDALENA BUCHALSKA









W Pażdżenicach koło Bełchatowa chcą utworzyć skansen ciężkiej broni z ostatniej wojny. Na okolicznych ugorach pędzić będą T-34 i T-57, które parły na Berlin i które miażdżyły bruki Budapesztu. Marzą o „Panterach", „Tygrysach" i „Schermanach"

Parada militarystów

RYSZARD WÓJCIK

Rżnięte hopsasa orkiestry podwórkowej, zdudniona wzmacniaczem knajacka przyśpiewka o Kaśce co dawała w maglu, nad placykiem przed remizą pożarną w samym środku Bełchatowa, siłą megaherców spiętrzone, nagle zaklęsły się pod mefistfelicznym łoskotem setek koni mechanicznych gigantycznej ciężarówki Marka Bullera, chłopaka z Kolorado, który jeszcze nocą wyrywał ile pary w garach, z wojskowej bazy NATO, gdzieś pod Monachium, by na południe zdążyć do tego miasta w Polsce, o dziwnej nazwie Bełchatów.

Jednostka lotnicza, w której Mark służy, układa rykiem swych maszyn krnąbrnych Bośniaków do rygorów pokoju; on sam jeszcze nie był na Bałkanach, czeka rozkazu, krótki urlop spożytkuje na wycieczkę do Polski. Ta ciężarówka to jego prywatna gablota REO, wojskowa maszyna z wojny wietnamskiej, następca dżemsa i szewroleta, właściwie muzealny zabytek. I o to chodzi! Uroda tej machiny w tym właśnie, że jej już nie ma. Przetopili w hutach, wyszła z demobilu, rzadko się trafi szajbus, który takiego kolosa postawi w ogródku przed domem, a któż lubi muzykę tłoków, które walą w ucho piekielnym rumorem? Lubią, kochają ten łoskot ci wszyscy zgromadzeni na placu przed remizą: ubrani w bateldresy, mundury Wehrmachtu, celtowe płaszcze i bluzy US marines, w pisakowe mundury Afrika Korps, w bluzy pancerniaków generała Maczka Tutejsi, nastoletni z Łaska i Sieradza studenci i technicy ze szkół zawodowych, rolnicy spod Zelowa, nauczyciele z Piotrkowa.

Przybyli na ten zlot czym kto miał: motocykl NSU z 1938 r. wypucowany na glanc przez Roberta Zdunka z Działoszyna, rarytas z tych co na palcach jednej ręki, współzawodniczy z M-72 wychuchanym przez braci Pawła i Leszka Szumowskich z Łaska; na jego przyczepie stoi, jak nowy, ręczny karabin maszynowy Diegtiarewa wzór 28, z przewiertem w lufie, niegroźny, rejestrowany na policji, ale... Szpan! Znawca rzuci okiem i już wie: oryginalny lakier byłby bardziej matowy, oprawa lampy jakby skądś pożyczona – liczy się detal, każda śrubka, autentyk na sto procent i to jest to. Jacek Dyba, strzyżony na glanc, wjechał ze swoją dziewczyną willysem amerykańskim CJ-2A, rok produkcji 1940, kupionym od Roberta Kuleszy trzy lata temu, cały czas na chodzie, palcem przy nim nie ruszył, tylko opony przytarł; jak to chodzi, pan redaktor spróbuje, rów nie rów, łąka, krzaki, fru!

PSL i SLD grożą sobie nawzajem

doniosła „Gazeta Wyborcza" tego dnia właśnie, gdy na rynek w Bełchatowie, pod transparent XVII DNI BEŁCHATOWA wpruł przyjaciel Marka Bullera z NATO, mój przyjaciel Maciej Kęszycki. Wpruł na gumowych gąsienicach, w stalowym pancerzu halftracka rok produkcji 1943, stuprocentowy autentyk, rodem z fabryki White'a, tylko 500 tysięcy sztuk zrobili, a dziś to rarytas, czyli rzadkość łakoma. Jak to dmucha! Alicja, moja nadobna żona, zasiądzie za kierownicą wypróbuje trójkę na wertepie, przesadzi rów okalający zagrodę Pniewskich w Pażdżenicach, popędzi krowy z łąki sąsiadów, zniszczy kawał darni pod lasem.

Tej maszyny nie ima się kula karabinu, od stali węglowej odskoczy każdy przecinak i wiertło. Taka drobna osóbka uwielbia szatańsko mocne maszyny, jedynie REO Bullera jest jeszcze piękniejsze, bo uciągnie pięćdziesięciotonową przyczepę po najgorszych dołach. Jeśli PSL będzie naciskała na odwołanie ministra Kaczmarka, to SLD może doprowadzić do odwołania ministra Buchacza. Nigdzie nie widać gazety, nikt na tym placu, a jest już z tysiąc gapiów, nie szeleści drukowanym papierem. Nikogo nie obchodzi los ministrów Buchacza. Wszyscy chcą się dopchać do halftracka i podzielić los tych szczęśliwców, co już na pakę wsiedli i pozują do mojej kamery: widzę w kadrze hełmy, dzieciaki w hełmach i maskownicach, harcerze z pomalowanymi twarzami, chłopaki w kamizelkach kuloodpornych, umundurowane pstre bractwo, rekonstruowana pordzewiała broń w rękach...

Berlin padł pół wieku temu,

a my żyjemy w Nowej Europie, praktycznie bez granic – mówi Jacek Pniewski, największy rykajło na tym placu. On tu robi zadymę największą w swoim demobilu z Bundeswehry, w amerykańskim hełmie na głowie, ochrypłym głosem wołający w kółko „power! power!", z gumowym kałachem w ręku napędzający ludzi do grochówki wojskowej z prawdziwego kotła polowej kuchni. Grochówkę na boczku ugotowała najlepsza ochmistrzyni w Bełchatowie. Z żoną Dorotą przytaszczyli z Pażdżenic cały majdan garów wojskowych, tam mają ranczo, tak mówią: RANCHO. On ma 26 lat, ona mniej, synek mieszka u babci w Zelowie, ich chata jeszcze w budowie, ale stamtąd ruszył pochód maszyn bojowych z drugiej wojny światowej, na zlot do Bełchatowa. Tam jest sztab całej akcji, tej „prowokacji" widowiskowej, tego happeningu z militariami, który tak zachwyca jednych, tak strasznie drugich oburza.



– Burmistrzowie Bełchatowa, dyrektor Muzeum Regionalnego Bogusław Dziedzic, radni gminni, policja – radzi wszyscy, że robimy imprezę, do której nikt nie dokłada, a błysk na mieście wielki. Manifestacja militaryzmu? Skądże! Parada pojazdów bojowych wykorzystywanych przez kinematografię. W Normandii, na rocznicę lądowania, sam prezydent Clinton się fatyguje, a tu niby obraza?... Że hełmy niemieckie mają na głowach? Ale bez oznak Wehrmachtu! Mundury bez swastyk i hackenkreuzów, bez naszywek SS i trupich główek. Jest zalecenie, by grupy szwabskie chodziły z białą flagą: poddali się. Hitler kaput! Jest Kęszycki z panzerwagenem typu SD KFz 250, pojazd grał już w filmach, w naszej paradzie uczestniczy bez znaków bojowych, bez hitlerowskich emblematów. O key? Nie ma się czego czepiać,

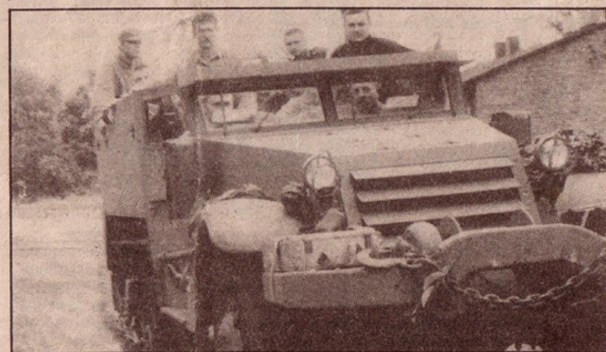
krzyżacki miecz spod Grunwaldu

byłby lepszy? Bo pół tysiąca lat minęło od czasu, gdy wisiał nad naszym karkiem? Ten hitlerowski pojazd utonął w Pilicy przed pół wiekiem, filmowałeś akcję wydobycia pod Tomaszowem. Pierwszy raz po wojnie broń pancerna niemiecka nie poszła od razu do huty tylko do muzeum. A dziś muzea wojskowe kupią każdy egzemplarz za dziesiątki tysiące marek.

Tylko skąd brać te egzemplarze? Idiotyzm. Kto winien? Mówisz, że to zabobonny lęk naszych mędrków od historii: niby nie należy gloryfikować broni wroga! Magia pierwotna się kłania. Podeptać i zniszczyć – o key? Ani jednego „Tygrysa" nie ma w muzeum na terenie Polski, a podobno były w Powstaniu w Warszawie... Z jakim potworem walczył ten chłopak rzucający butelką zapalającą? Kutasy wojskowe posłały wszystkie czołgi niemieckie do hut. I samoloty. A ja nie mogę przejechać przez Bełchatów hitlerowską maszyną?

Jacek Pniewski razem z Maćkiem Kęszyckim mają w głowie plan: w Pażdżenicach, na przedmieściu Zelowa, dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Bełchatowa, w obrębie wiejskiej zagrody Jacka, powstanie skansen ciężkiej broni z czasu ostatniej wojny. Na okolicznych ugorach będzie można rozpędzić czołg do sześćdziesięciu, osiemdziesięciu na godzinę, będą ruskie T-34 i T-57, te które parły na Berlin w 45. i te które miażdżyły bruki Budapesztu w 56., o „Panterach" i „Tygrysach", o „Schermanach" i „Churchillach" się jeszcze marzy, ale kto to może przewidzieć co się jeszcze zdarzy? Kęszycki w 1991 roku wyjął z Pilicy pierwszą „Panterę", czołg był częściowo wysadzony, Muzeum Wojska nie chciało pokryć kosztów. Kęszycki wciąż namierzał nowe obiekty do wydobycia, całego czołgu jeszcze nie znalazł – zbiera po kawałku co tam w rzece czy w bagnie się trafi, idą na to ciężkie pieniądze, jego prywatna forsa. W jego skansenie pod Jabłonną stoi kilkanaście „obiektów" zdobytych trybem bitewnym: ciężkie koparki i dźwigi wypruły z błota i piachu okrawki niemieckiej broni. Są tam dwa halftracki, niekompletne, były na służbie w armii radzieckiej z dostaw amerykańskich. Teraz przywieziony z Niemiec kompletny halftrack Maciek przymierzy do tamtych wraków i posłuży się nim w rekonstrukcji. Maciek jest Polakiem, ma tutaj rodzinę, z bratem Stachem pracuje dziś na kontraktach Muzeum Wojska. Dawny konflikt to już historia. Nikt nie nasyła nań prasy i nie szczuje: „Tajemniczy Niemiec wywozi z Polski cenne obiekty militarne" itd. Dziś Maciek cenne obiekty do Polski przywozi. Chamscy podszczuwacze mają mu jednak za złe, że jego ciężkie pojazdy, jakimi zarabia w Polsce pieniądze, mają rejestrację... niemiecką! W Niemczech mieszka jego żona i tam ma on swoją bazę przewozową.

Gdyby nie pieniądze Maćka i Stacha Kęszyckich nie byłoby w Bełchatowie parady „militarystów".



Kup Punto, bądź wolny, kup samochód, który bogactwem wyposażenia przewyższa inne auta swojej klasy, a na innej kolumnie gazety: Honda Accord Civic – atrakcyjne ceny! Renault Megane Eco już za 35 930 zł... Hondy, Toyoty, Daewoo, Audi – reklamowa parada automobilowych marek z całego świata, na łamach prasy, w błyskaniu szklanego mamidła telewizji. A oni, ci młodzi, dyskotekowi, twardo metaliczni, – w kornym przyklęku wobec wojskowego grzmota sprzed półwiecza?

Przy ognisku, na podwórzu zagrody Pniewskich, gadam z nimi pijąc piwo (ani jednej flachy z wódą!) o ich zauroczeniu. To komputerowi ludzie. Cyfrowo-elektroniczni, compaktdyskowi, o moim Żeromskim i Lwie Tołstoju ciężko byłoby haftować. Staroświecki mój łeb trzeszczy z wysiłku, gdy pytam: *Co ty w tym widzisz?* Odpowiada Jacek, ten który szaleje willysem: *Nie czujesz? Spielberga oglądasz, „Jurajski park" widziałeś? Dotyk nieznanej formy, czwarty wymiar świata. Taśma produkcyjna stanęła miliony lat temu. Nikt tej formy nie powiela. A gówniana Mazdę czy Punto sztancują ci, skolko ugodno. W bebechy nie zajrzysz, praca silnika wytłumiona, nie wiesz jak to pracuje, moja maszyna ma wszystko na wierzchu, ona się wścieka razem ze mną, wariuje z radochy, że udał się skok przez rów, kapujesz? Ja mam coś, czego nie kupię w sklepie, ja mam w dupie sztancę pieprzonego luksusu! Na mojej maszynie krwawili ludzie w drodze na Berlin, kurwa, musisz zrozumieć co mówię, bo widzę, że ci to ucieka. A w końcu to ci powiem: znowu na chama ściągają mnie pyskiem w koryto.*

Mam myśleć o ratach, o zapłaceniu rachunków, o moim kochanym prezydencie, którego nie wybierałem. Politykę pchają mi do żłobu od rana do wieczora, wmawiają mi, że wszystko, co najważniejsze to w polityce. Ci z PSL i tamci z SLD wiedzą za mnie lepiej. A co mnie to, kurwa, obchodzi, który minister kradł forsę w PRL? Ja mam jedno życie i chcę je mieć dla siebie. Do dna. Do oporu. Moja maszyna jest zbzikowana, ja jestem bzikiem. O key. Spytaj tego Marka Bullera, co on robi ze swoim życiem: od trzydziestu lat remontuje stare pojazdy wojskowe, ładuje w to ciężką forsę, ma już czterdzieści sztuk na chodzie. Jest kapitanem lotnictwa, lata na maszynach bojowych, przepala całą forsę na tym wariactwie. A spytaj Mariana Laskowskiego, w końcu to solidny facet, handel kosmetykami, ecie pecie, pływał po oceanach kupę lat, groszem nie szasta, a jedź do niego do Darłowa, zobacz co u niego na działce stoi: odkupił teraz od wojska cztery ZIŁ-151, stan idealny, mieli je pociąć na złom... Stary! Pod palnik idzie ruska technika z przyczyn ideologicznych jak kiedyś, za komuny, tylko na odwyrtkę. Tnie się „wrogie żelastwo" jakby się chciało wypalić trąd... Głupota. Za czołgi T-34 już za parę lat będzie można kupować stada tych sztancowanych Toyot i Daewoo.



Mark Sonday z Wisconsin jest właścicielem szesnastu czołgów i kilkunastu pojazdów opancerzonych, a sędzia stanowy z Indiany ma już pięć czołgów, w tym radziecki T-54. Zawiązany 11 lat temu w Los Angeles Związek Konserwatorów Pojazdów Wojskowych liczy dziś dziesięć tysięcy członków... A my tutaj, w Bełchatowie, w pięćdziesiąt lat z hakiem, po wojnie, nie możemy pokazać jednego całego niemieckiego czołgu! I nikt się nie odważył przyjechać ruskim T-34, choć Muzeum Wojska mogłoby sprzedać parę sztuk, z tych co pozdejmowali z cokołów. Formalnie mam prawo mieć taki czołg w ogródku, w charakterze budy dla psa, wolno mi pomalować pancerz w kwiatki albo pojechać nim po ziemniaki w pole... W Polsce nigdy jeszcze nie było takiej parady pojazdów bojowych, jaką my tu robimy. Jesteś świadkiem historycznej chwili, pamiętać będą o tym pokolenia!

PS. Następnego dnia, po wieczorze spędzonym w dyskotece w Zelowie, po gwarnym biesiadowaniu u ogniska, aż do rana, w zagrodzie – skansenie Jacka i Doroty Pniewskich w Pażdżenicach, ruszyła pancerna kawalkada przez senne przysiółki do wsi Karczmy nad rzeką Grabką. Prowadził ekspedycję Maciej Kęszycki na swoim gąsienicowym halftracku, jechali za nim Mark Buller za kierownicą REO i Marian Laskowski na ZIŁ-151. W trawiastym obrzeżu rzeczki czekał na nas PzKpfw III, wrak hitlerowskiego czołgu zalegly tam od czasu ofensywy styczniowej 1945 roku. Raz jeszcze z Alicją, moją żoną, dane nam było uczestniczyć w fantastycznym widowisku, pojedynku: potężne współczesne maszyny wyrywają z bagna rdzawe cielsko potwora... Raz jeszcze gorzki finał: złomownicy byli szybsi! Wydobyta została jedynie „wanna", okrojony palnikami spód czołgu. W Muzeum Regionalnym w Bełchatowie powie przewodnik do wycieczki: – *Kiedyś na świecie żyły dinozaury...* ■

Po prostu kupił sobie czołg...

20 tysięcy zł kosztował czołg T-55, który Jacek Pniewski z Kolonii Pożdżenice koło Zelowa kupił od Agencji Mienia Wojskowego. Opancerzony pojazd powiększył prywatną kolekcję militariów. Kupiony ostatnio czołg waży 42 tony i jest „na chodzie". Mieszkaniec Kolonii Pożdżenice zasłynął sześć lat temu wyprawą czołgiem T-34 do... kościoła, w którym wziął ślub. Na zdjęciu: Jacek Pniewski (na dole) zajmuje miejsce kierowcy czołgu T-55

FOT. MAGDALENA BUCHALSKA



4 – 10 VIII 2004 rok • nr 31 (1247)

Jacek Pniewski "Jazzman"

Poszukiwacz zaginionych militariów

Jacek Pniewski z Pożdżenic – znany kolekcjoner militariów, szuka trofeów nie tylko na giełdach zbieraczy. Z poszukiwaczem metali bada pola bitew II wojny światowej i czasem wraca... uśmiechnięty. Pod ziemią znajduje resztki czołgów, dział a nawet samolotów. Ostatnio wydobył niemiecki czołg.

Choć od zakończenia drugiej wojny światowej minęło ponad 60 lat, w ziemi spoczywają jeszcze resztki pojazdów pancernych, armat, uzbrojenia. Kolekcjonerzy militariów obawiają się, że wraz z otwarciem granic, wiele eksponatów wypływa na zachód. Pojawili się też pseudoszperacze, którzy wyszukują militaria dla bogatych niemieckich kolekcjonerów.

– Kilka dni temu przekraczałem w Świecku granicę polsko-niemiecką i oczom nie wierzyłem. Na lawecie przejechał sobie wóz pancerny. Co prawda do odrestaurowania, ale żadnego z celników nie interesowało, że pojazd wyjeżdża z naszego kraju. A przecież do Niemiec trafiają stare samochody, motocykle i inne zabytki. Majętni sąsiedzi z zachodu wyczyszczą nasz kraj z zabytków. Co do tego nie mam wątpliwości – buntuje się **Jacek Pniewski** z Pożdżenic koło Zelowa, zapalony kolekcjoner militariów.

Panzer IV w Karczmach

Ziemia naszego regionu, jak twierdzą kolekcjonerzy, kryje wiele tajemnic. O niektórych krążą wśród miejscowej ludności legendy. Inne przestają powoli być tajemnicami. Dotarli do nich odkrywcy. Jak choćby w okolicach Karczm koło Łasku.

– Starsi ludzie opowiadali, że w styczniu 1945 roku, kiedy Niemcy uciekali na łeb na szyję przed Rosjanami zgubili w bagnach czołg – opowiada Jacek Pniewski. – Nikt jednak dokładnie nie potrafił wskazać miejsca, w którym znajduje się pojazd. Pomocny okazał się wykrywacz metali. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że w bagnach spoczywa czołg Panzer Kpfw IV.

Zbieracz miał prawo wpaść w osłupienie. Panzer Kpfw IV to czołg szczególny. To niemalże symbol niemieckich wojsk pancernych w II wojnie światowej.

Ważące dwadzieścia ton monstrum posiadało zgrzewany elektrycznie pancerz, w niektórych miejscach nawet o 30 mm grubości. Czołg uzbrojony był w krótkolufowe działo 75-milimetrowe i dwa karabiny maszynowe 7,92 mm. Załoga składała się z pięciu osób.

– Dotychczas udało mi się wydobyć lufę oraz całą prawą część od strony kierowcy – wylicza Jacek Pniewski. – Mam też całą płytę podłogową, gąsienice oraz elementy czołgowej galanterii, jak choćby pedał gazu, skrzynię biegów oraz pokrętło od lufy. Wszystko jest w nienagannym stanie. Zachował się nawet oryginalny lakier i tabliczki fabryczne. Boje się, że okoliczni mieszkańcy rozkradli część elementów.

Jacek Pniewski jeszcze tego lata, lub wczesną jesienią, zamierza zakończyć prace eksploracyjne w Karczmach.

Armata z Chajczyn

Na przełomie 1944/1945 roku w okolicach miejscowości Chajczyny koło Wygiełzowa (gm. Zelów) stacjonowała bateria ciężkich dział niemieckich. Nie wiadomo jak to się stało, że Niemcy pozostawili jedną z armat. Działo nie wzbudziło także większego zainteresowania Rosjan. Spodobało się natomiast okolicznym chłopom.

– Na ślad 105-milimetrowego działa natrafiłem przypadkiem – wspomina Jacek Pniewski. – Zauważyłem, że jeden z rolników ma przytwierdzony do pługa zamek od lufy. Oniemiałem. Ten zaś odpowiedział mi z rozbrajającą szczerością, że zamek służy do obciążenia maszyny. Dzięki temu możliwa jest głębsza orka. Zamek trafił oczywiście do mojej kolekcji.

Części z owego działa znalazł kolekcjoner z Pożdżenic w pięciu okolicznych wioskach.

– Chodziłem od domu do domu i pytałem, czy ktoś ma coś z niemieckiej armaty. Dziś mogę z dumą powiedzieć, że brakuje mi już niewiele. Mam lufę, podpory, łoże oraz osłony. Niech tylko będę miał trochę czasu ruszę na poszukiwania.

Bombowiec przy drodze

Tuż przy drodze między Widawą, a Zelowem, jak twierdzi Jacek Pniewski, znajdują się resztki niemieckiego samolotu bombowego.

– Nie ujawnię miejsca, bo zaraz zlecą się hieny. Znalezisko już zlokalizowałem. Zajęło mi to kilka lat żmudnych badań, studiowania wielu dokumentów, przepytywania ludzi. Byłem tam już kilka razy. Ostatnio wraz z kolegą. Wizyta okazała się nadzwyczaj owocna, bowiem natrafiliśmy na resztki korpusu. Znaleźliśmy też coś co może być elementem chłodnicy. Nie chcę jeszcze nic mówić, ale coś mi podpowiada, że może być to Junkers Ju 87 lub Ju 88. Gdyby moje przypuszczenia potwierdziły się, byłaby to nie lada sensacja.

Ziemia kryje tajemnice

Jak twierdzi Jacek Pniewski w naszym regionie dużo jest miejsc, w których ziemia kryje wiele tajemnic. Choćby w pobliżu Czestkowa koło Łasku, gdzie w styczniu 1945 roku rozegrała się bitwa pancerna.

– Uszkodzone pojazdy pancerne stały przy drodze. Ludzie chodzili gromadnie, aby je oglądać. Do dziś krąży legenda, jak to wlaz się zatrzasnął i chłopiec nie mógł wyjść z czołgu. Dowiedziałem się, że jest tam armata. Ona musi jeszcze poczekać na wydobycie.

Armata spoczywa także, zdaniem kolekcjonera, w Kowalewie koło Buczku.

– Po głowie chodzi mi jednak co innego. Wiem, że w bagnach rzeki Warty znajduje się czołg. Jest praktycznie nieuszkodzony, bowiem cały zapadł się w maź. Co więcej, jako jeden z nielicznych poszukiwaczy praktycznie go zlokalizowałem. Myślę o jego wydobyciu. Nie wiem jednak jak to zrobić, żeby nie wzbudzać sensacji. Gapie nie pomagają, a wręcz szkodzą.

DARIUSZ PIEKARCZYK



Proszę, co my tu mamy? Jakieś części gąsiennic – zastanawia się Jacek Pniewski

FOT. D

Bełchatów
Dłutów
Drużbice
Kleszczów
Kluki
Rząśnia
Szczerców
Zelów

BEŁCHATOW
TYDZI

ILUSTROWANY TYGODNIK PO

Nr 2 (388) Rok X **15 stycznia 1997 r.** Cena 1 zł Nr indeksu 353

W numerze:

Jacek Pniewski "Jazzman"

„Potwory wychodzą z ukrycia"

Nie wszyscy mieszkańcy naszego miasta wiedzą, że w czasie ostatnich Dni Bełchatowa, w momencie, w którym uroczystości zostały „zakłócone" najazdem na nasz gród kolumny pancernej pojazdów obcych wojsk, redaktor **Ryszard Wójcik** z Warszawy zdarzenie to obserwował i dokumentował.

Ryszard Wójcik, znany reporter - dokumentalista, tropiciel śladów pozostawionych przez Historię (kto pamięta cykl telewizyjny „Zatrzymane w kadrze") wydał ostatnio książkę z cyklu „Tajemnice, sensacje, relacje świadków", pod groźnym tytułem **„Potwory wychodzą z ukrycia"** wydaną przez Wydawnictwo Orgelbrandów (rok założenia 1829) w Warszawie.

Dowiedziałem się o tym, gdy jeden z moich przyjaciół w ostatnią sobotę niespodziewanie odwiedził mnie i wchodząc z tajemniczym uśmiechem, już w progu, trzymając w ręku książkę, zamiast tradycyjnego „cześć Bogdan", powiedział - Bogdan ten wasz Bełchatów opisują już w bestsellerach.

Spojrzałem na Jacka ze zdziwieniem i myśląc, że żartuje ten Warszawiak z „mego Bełchatowa" chciałem błyskawicznie odgryźć się znanym kawałem o Zygmuncie III Wazie, który zeskoczył z kolumny i uciekł 13 grudnia do Gdańska. Lecz Jacek widząc mój zły grymas twarzy, jakby odczytując me myśli, już poważnym i rzeczowym tonem powiedział:

- Mówię poważnie, przywożę Ci jeden egzemplarz - jeszcze ciepły. Przeczytaj, to sam się przekonasz.

Wieczorem zacząłem czytać tę ładnie wydaną książkę. Czytam, czytam, a tu tylko same sensacje związane z przygodami poszukiwaczy skarbów i tajemnic z okresu bitew II wojny światowej. I już miałem dokończyć czytanie w dniu następnym, gdy na 172 stronie spostrzegłem tekst:

... 15 czerwca 1996 r., w sobotę, przy słonecznej pogodzie, w samo południe, z ciężkim łoskotem na rynek w Bełchatowie długa kolumna pojazdów z czasów drugiej wojny światowej: na czele sunął amerykański halftruck, opancerzony pojazd gąsiennicowo-kołowy z 1942 r. jadący na własnym chodzie, prowadzony od granicy niemieckiej przez Macieja Kęszyckiego...

... Szczególnie malowniczo popisywali się właściciele willysów i dżipów z młodzieżą przebraną w uniformy z demobilu...

ciąg dalszy na str. 8



„Potwory wychodzą z ukrycia"

ciąg dalszy ze str. 1

... Grzmiał mocą wszystkich cylindrów Marek Buller, prowadzący ciężarówkę armii USA typu



REO, weterana wojny w Wietnamie - ciężarówka dotarła nad ranem z Monachium, wprost z kolekcji Bullera, który pełni służbę wojskową w jednej z baz amerykańskich...

... Władze miasta oficjalnie wprowadziły „paradę pojazdów wojskowych używanych do zdjęć w kinematografii" do programu XVI Dni Bełchatowa, a sama defilada odbywała się głównie na koszt własny uczestników i zasilana była w lwiej części z kasy braci Kęszyckich. Miasto ufundowało uczestnikom prawdziwą grochówkę...

... Byłem i ja gościem w Bełchatowie, filmowaliśmy z Alicją (żoną) paradę...

... Tłumy oblegały malowniczą paradę pojazdów znanych jedynie z ekranu, w wywiadach, jakie przeprowadzaliśmy z ludźmi, przeważało jednogłośnie: „zabawa"...

... Filmowałem klaszczących widzów, gdy grupa młodych, przebranych w mundury z Afrika Korps, wmaszerowała w stylu wehrmachtowskim z białymi chustami, krzycząc „Hitler kaputt!"...

... Jacek i Dorota Pniewscy, młodzi małżonkowie, pomagali Bogusławowi Dziedzicowi, dyrektorowi Muzeum Regionalnego w organizowaniu bełchatowskiej imprezy, odwiedzali i innych kolekcjonerów, a w czasie trwania dwudniowej imprezy służyli im gościną w swym „ranczo", częstując czym chata bogata.

▼

Książka Ryszarda Wójcika będzie do kupienia w Muzeum Regionalnym już w końcu stycznia.

▼

Ryszard Wójcik będzie w najbliższym czasie autorem ciekawego programu poświęconemu poszukiwaczom tajemnic historii w jednym z programów ogólnopolskiej TV.

Tak bardzo zafascynowała go ubiegłoroczna „Parada pojazdów z II wojny światowej" w Bełchatowie, że nakręcił reportaż z tej imprezy, który zostanie wyemitowany w TV. Zamierza także do naszego miasta przybyć, gdyż, jak twierdzi, jest to miasto, które „żyje" i coś się tu dzieje.

Bogusław Dziedzic

Od autora: „Parada pojazdów wojskowych z II wojny światowej" w ubiegłym roku kosztowałaby około 500 mln starych złotych. Muzeum Regionalne zapłaciło tylko za grochówkę (około 5 mln starych złotych). Resztę pieniędzy wyłożyli bogaci sponsorzy prywatni z Warszawy. A mieliśmy w Bełchatowie i ciekawszą imprezę, i mamy książkę, w której pochlebnie piszą o naszym mieście, i film, który będzie oglądała cała Polska.

Jacek Pniewski "Jazzman"


Jacek Pniewski w otwartym włazie wieżyczki czołgu T-55 FOT. MB

Niedzielne przedpołudnie w Kolonii Pożdżenice koło Zelowa. Po polach pędzi czołg, a mieszkańców to nie dziwi. – To nie pierwszy czołg w wiosce – śmieje się Dorota Pniewska, żona Jacka, sprawcy zamieszania

Prywatny „poligon"

Czołg T-55 to najnowszy nabytek Doroty i Jacka Pniewskich, mieszkańców podzelowskiej wsi. W otoczeniu innych wojskowych pojazdów na podwórku prezentuje się nadzwyczaj okazale.


Przejażdżka czołgiem po działce Pniewskich
FOT. MAGDALENA BUCHALSKA

Militaria to właściwie miłość Jacka. A Dorota patrzy na nią przychylnym okiem. Nie jest o nią zazdrosna, bo sama do sprzętów ściąganych przez męża, ma pewną słabość.

– Kiedy poznałam Jacka, to miał już sporą kolekcję – mówi Dorota. – Głównie były to motocykle wojskowe i samochody osobowe „cywilne". Z czasem pojawiły się pojazdy gąsienicowe, początkowo w częściach, wydobywane gdzieś z podziemi.

Później Jacek zdobył amfibię, pierwszy duży pojazd gąsienicowy. Z czasem kolekcja powiększyła się o kolejne, a teraz przybył czołg.

– Żyjemy tym na co dzień – mówi Dorota. – Dla mnie to nie nowość. Mój ojciec interesuje się antykami. Kiedy byłam dzieckiem, jeździł po wsiach i przywoził różne „skarby". Z niecierpliwością czekałam, co to będzie. Podobnie było z Jackiem.

– To nie było tak, że jechałem do chłopa, kładłem pieniądze na stole i kupowałem coś – opowiada Jacek. – Wszystko wyciągnięte było prawie na siłę. Na pół wrośnięte w ziemię, schowane gdzieś tam w stawie.

– Teraz już nie można nic ciekawego zdobyć – twierdzi Dorota. – Raczej jest to współczesny sprzęt z demobilu. Nie ma już takich emocji. Czekam jednak na to, co Jacek przywiezie. To też atrakcja, bo są to duże sprzęty. Zawsze jest akcja ich ściągania, zjeżdżają się koledzy, przyjeżdża pół wsi i mieszkańcy okolicznych miejscowości. To jest wydarzenie.

Ach, co to był za ślub

Pniewscy koło Zelowa mieszkają od 6 lat. Miejscowi się przyzwyczaili, nawet czołg na wiejskiej drodze nie wzbudza już wielkich emocji. – Nigdy nie mieliśmy problemów z sąsiadami – mówi Dorota.

Ale po zlotach pojazdów militarnych, które Pniewscy u siebie organizują, niektórzy mieszkańcy przychodzą i mówią, że ciężki sprzęt zniszczył kawałek ich pola. – Są na tyle uprzejmi, że nigdy nie przychodzą w czasie zlotu, tylko po imprezie – mówi Dorota. – Płacimy odszkodowanie, nawet jeśli czasami uważamy, że pretensje nie są uzasadnione, ale chcemy żyć w przyjaźni.

Był czas, że oboje mieli dosyć zlotów. – Przez jakiś czas nie mogłam nawet patrzeć na zielony kolor – wzdycha Dorota. Aż znów zatęskniła do huku maszyn, zamieszania na podwórku, widoku czołgów pod oknami, tłumów, niekiedy obcych ludzi, którzy przewijali się przez ich dom. I zaczęła namawiać męża, by zrobili zlot. I udało się w zeszłym roku.

Najbardziej zapamiętali jednak drugi zlot, a tak naprawdę pierwszy duży – otwarty dla publiczności. To było w 1996 roku. Wówczas brali ślub, do którego pojechali... czołgiem T-34, takim jak Rudy 102. Dowiedziała się o nich cała Polska.

– Nie bardzo pamiętam, jak do tego doszło – mówi Dorota. – Nie planowaliśmy ślubu w tamtym terminie. Wiedzieliśmy, że na zlocie będzie czołg. Ktoś rzucił: może pojedziecie nim do ślubu? Jacek podchwycił myśl. Dla mnie to było śmieszne, nie przywiązywałam do tego większej wagi. – To mój pomysł – oburza się Jacek. – Nikt nie wierzył, że możliwy do zrealizowania.

Do końca nie było wiadomo, czy ślub się odbędzie, bo pojawiły się problemy z transportem czołgu. Na szczęście dojechał. Wszystko odbyło się z wielką pompą. Tylko panna młoda pojechała do ślubu ranna. – Rano byliśmy na paradzie w Łasku – wspomina D. Pniewska. – Jechaliśmy willisem i po drodze nie zauważyliśmy głębokiego rowu.

Miała pokiereszowane kolano. Była pomoc lekarza i szycie ran. – Wychodziłam z izby przyjęć, a lekarz mówi: „niestety do wesela się nie zagoi" – śmieje się Dorota. – Na przyjęciu weselnym bawiło się kilka tysięcy ludzi, przybyłych na zlot.

Militaria jak dzieci

O całej kolekcji Jacek mówi z czułością, choć oczywiście najwięcej uwagi poświęca teraz czołgowi. – To jednak tak jak z dziećmi – zastrzega – wszystkie kocha się jednakowo. Każdy z pojazdów ma swoją historię.

Tuż przy domu stoi amerykański halftruck z 1944 r. – pojazd pancerny półgąsienicowy. Jacek ma go od 4 lat. – To pojazd na gumowych gąsienicach – opowiada. – O to mi chodziło. Można nim jeździć po szosie nie kalecząc jej. Robię sobie czasami wyprawy do Zelowa wzbudzając sensację. Jeździ szybko – do 70 kilometrów na godzinę. Niektórzy są w szoku jak „gąsienica" ich wyprzedza.

Amfibia mała przez cały sezon stała w stodole kolegi. – To nigdy nie restaurowana, w oryginalnym stanie technicznym amfibia, produkowana w latach 50. przez ZSRR. Karoseria trzyma się kupy, ale amfibia nie może stać na zewnątrz – rozkłada ręce Jacek – bo jest jak wanna. Woda w niej stoi, przychodzi mróz i amfibia się sypie.

Amfibię kupił od straży pożarnej w Łowiczu. Tam stała bezużyteczna, a Jackowi się spodobała. Ona też ma swoją historię.

– Pojechałem po zupełnie skorodowaną, wrośniętą do połowy w ziemię budę, czyli karoserię od amfibii w okolice Łowicza – opowiada. – A początek ta historia ma na Mazurach. Tam poznałem człowieka, który opowiedział mi, że gdzieś tam u rolnika koło Łowicza jest amfibia. Myślałem tylko o tym, by ją zdobyć. Wybrałem się po nią, ale zabłądziłem. Jechałem samochodem terenowym, a że się ściemniało, to „pognałem" na skróty przez pole wyciętej kapusty. Było już zupełnie ciemno, gdy zajechałem na podwórko do jakiegoś gospodarza, od tyłu do stodoły. I mówię, kogo szukam. A on pyta: „co ja od tego człowieka chcę". Mówię, że on ma karoserię do amfibii. A on na to: „a to nie o to czasami chodzi?". Okazało się, że przez zupełny przypadek wjechałem prawie na amfibię. Jak pakowaliśmy podwozie, to jeden z chłopaków wygadał się, że taka ładna amfibia w idealnym stanie stoi w straży. Starej się pozbyłem i kupiłem sobie „rasową sztukę".

Dwa kółka, to mało

Jacek twierdzi, że jego kolekcja jest teraz bardzo uszczuplona. – Swego czasu w Polsce, by zdobyć np. części do harleya – tłumaczy – trzeba było dać w zamian 10 motocykli. Część pojazdów też oczywiście sprzedawałem. Sprzęt potrzebuje konserwacji i dachu nad głową. A to kosztuje.

Najbardziej było mu szkoda pozbyć się niemieckiej amfibii Porsche z okresu II wojny światowej. – Pan Samochodzik jeździł taką – mówi Jacek. – Ja też taką miałem, ale przekonano mnie, że w Polsce nie da się jej odrestaurować. Sprzedałem. Kupiłem ją za 2 tys. zł, a wziąłem 10 czy 15 razy tyle, ale i tak uważam, że ta decyzja to niewypał.

Ulubionym sprzętem Doroty w kolekcji był willis, którego Pniewscy sprzedali. Dorota liczy, że kiedyś znów będzie go mieć – dla siebie i dzieci: 10-letniego Mieszka, 5-letniej Marysi i 3,5-letniej Igi. Teraz najbardziej lubi małą amfibię, którą czasami nawet prowadzi. Jacek chciał jej kupić motocykl, ale Dorota źle się czuje na dwóch kółkach.

Dla dzieciaków militaria to codzienność. Mieszko chętnie pomaga ojcu. – A kiedy Jacek sprowadził czołg – opowiada Dorota – Marysia spytała: Mamusiu, czy ja będę tym czołgiem jechać do ślubu?

Dom z widokiem na czołg

Czołg ma swoje miejsce tuż przy domu. – Trochę mnie to denerwuje – Dorota patrzy na podwórko. – Prosiłam Jacka, żeby to wszystko zabrał sprzed okna, żebym widziała las.

Na podwórku stoi też dużo ciężkiego sprzętu, który Jacek wykorzystuje w swojej pracy. Zajmuje się głównie transportem sprzętu „ponadgabarytowego". – Robię to, co lubię – mówi Jacek. – To dla mnie frajda przewozić lokomotywę czy cysternę kolejową.

Pniewscy mają około 8 hektarów ziemi. Dokupują, bo chcą wytyczyć trasę, tak by nie wjeżdżać na cudze tereny. Jacek po drugiej stronie drogi zrobił mały poligon, który bywa główną atrakcją zlotów.

Przyjeżdżają na nie ludzie z całej Polski, ale także obcokrajowcy – głównie Niemcy i Amerykanie.

Stroną organizacyjną zlotów zajmuje się Dorota. W tym roku na zlot w czerwcu chcą zaprosić właścicieli 100–150 pojazdów. Kiedyś było 400 pojazdów, trochę za dużo.

Jacek chce zrobić rajd czołgów po okolicznych polach, trasą liczącą od 5 do 10 kilometrów. W planach jest topienie czołgu i „wyławianie" go, oczywiście jeśli finanse na to pozwolą.

MAGDALENA BUCHALSKA

Puzzle z grubej blachy

Kilkaset tysięcy złotych zainwestował już w swój ulubiony pojazd Jacek Pniewski, przedsiębiorca transportowy spod Łodzi. Od czterech lat odbudowuje amerykańskiego Half-Tracka, czyli transporter kołowo-gąsienicowy z 1944 r.

Ważący dziewięć ton pojazd z silnikiem White o pojemność 4510 ccm (moc 147 KM), w czasie wojny – w ramach pomocy amerykańskiej – trafił prawdopodobnie w jakimś morskim konwoju do ZSRR, gdzie przekazano go do oddziałów tworzącego się Ludowego Wojska Polskiego. Tak trafił do Polski. Po kilkudziesięciu latach J. Pniewski kupił jego ramę, bo tyle z niego zostało. Rama była podstawą, która posłużyła pasjonatowi do rekonstrukcji.

– Składałem go jak puzzle – mówi mieszkaniec podłódzkiej Kolonii Porzenice. Po zdobyciu dokumentacji technicznej wyszukiwał części do transportera w całej Europie. Niektóre, jak np. koła po pojazdach z wojennego amerykańskiego demobilu, „wyrywał” w Polsce po wsiach. Po czterech latach zdołał na tyle zrekonstruować transporter, że jest już na chodzie.

Przedsięwzięcie pochłonęło kilkaset tysięcy złotych. – W tym Half-Tracku jest 150 kilogramów śrub calowych, kupowanych na sztuki – tłumaczy hobbista. Zrekonstruowanym pojazdem nie może jednak jeździć po drogach publicznych. O zarejestrowaniu go jako zabytku nawet nie myśli: – Nie mam żadnych pierwotnych dokumentów. Musiałbym chyba robić od nowa homologację, a – o ile znam nasze przepisy i realia – zabrałoby mi to tyle energii, że w tym czasie zrekonstruowałbym drugi taki pojazd. ***(MB, fot. PN)***



Jacek Pniewski; w tle transporter, który zrekonstruował.

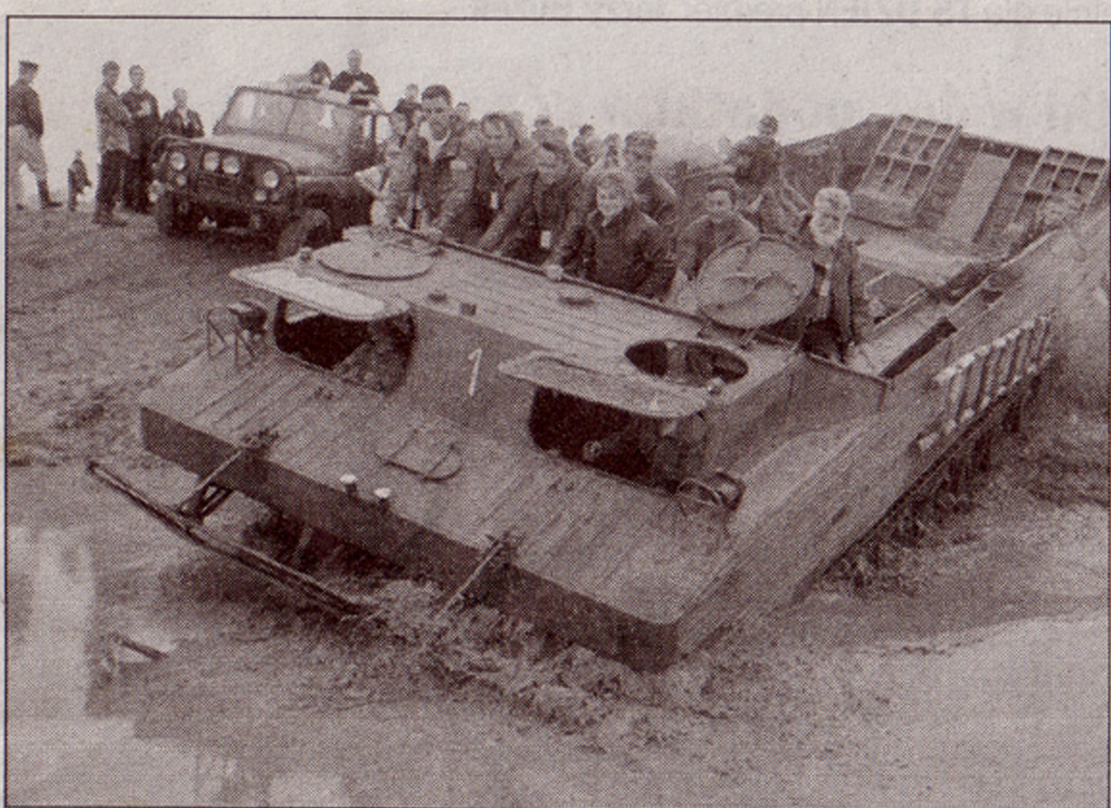


Za tą amerykańską kierownicą ponad pół wieku temu siedział polski żołnierz



Łodzianin zbierał części do Half-Tracka po całej Europie





FOT. RAFAŁ KLIMKIEWICZ

Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych

Samolotem, amfibią, motocyklem...

350 uczestników (w tym przedstawiciele Anglii i Niemiec) wzięło udział w IV Międzynarodowym Zlocie Pojazdów Militarnych. Impreza, która odbyła się w miniony weekend w kolonii Ożdżenice, maleńkiej wiosce w pobliżu Bełchatowa, kiedyś była jedyną w Polsce, obecnie należy do największych w kraju.

Kawalkada przeróżnych pojazdów, z których wiele pamiętało II wojnę światową, w zwartym szyku przejechała przez okoliczne miejscowości. Atrakcją była potężna amfibia, własność organizatora imprezy. W sobotę wieczorem odbyła się wielka bitwa. Najpierw samolot „Wilga" zbombardował okopy i bunkry na wzniesieniu, a później kilkudziesięciu młodych, umundurowanych ludzi rozpoczęło walkę na petardy. Błyski, dymy i huki trwały kilkanaście minut. Kiedy zabrakło „amunicji" doszło do walki wręcz. Niektórzy tak wczuli się w rolę, że tarzali się w błotnistej rzeczce otaczającej atakowane wzgórze.

Właściciele pojazdów wojskowych ścigali się w konkursach. Największym zainteresowaniem cieszyło się pokonywanie głębokiego błota, forsowanie rzeki i podjazd pod stromą górę.

– Około 100 osób przez dwa miesiące budowało bunkry, kopało transzeje i przygotowywało teren tak, aby wszystkie pojazdy mogły tutaj zaparkować. – mówi Jacek Pniewski, organizator i fundator imprezy.

W pierwszym zlocie wzięło udział 30 pojazdów wojskowych, rok później – 120. Na trzeci zlot zajechało już 400 pojazdów, w tym sporo czołgów. ■ **Jar**

W Pożdżenicach (gm. Zelów, pow. bełchatowski) odbyły się niegdyś pierwsze na świecie wyścigi „tanków"

Ślubny kobierzec z czołgowego pancerza

Jeśli w podzelowskich Pożdżenicach, albo nawet w samym Zelowie, zapytasz o Jacka Pniewskiego, usłyszysz: a, to ten, co na czołgu do ślubu jechał.

On sam mówi: – Co tam czołg! Teraz buduję lotnisko i kupuję samolot. Mam już taki upatrzony, na chodzie, z demobilu, podobnie jak wojskowego pilota. Będzie nim latał, nim zrobię uprawnienia.

Kolonia Pożdżenice, choć leży na obrzeżach sporego Zelowa i widać stąd kościelne wieże miasteczka, jest niewielką, cichą wioseczką. Jej widok, poza zwykłą wiejską codziennością, nie zwiastuje nic nadzwyczajnego. Tymczasem wystarczy wjechać w głąb jedynej tu, wyboistej ulicy, by znaleźć się w miejscu przypominającym plan wojennego filmu.

Na obszernym podwórku stoi najprawdziwszy jeep z napisem IFOR, mający filmową przeszłość. Z garażu wystawia dziób potężna amfibia w otoczeniu niemieckich, wojskowych NSU i amerykańskiego harleya davidsona w sędziwym wieku ponad sześćdziesięciu lat. Zresztą tego wieku nikt by nie poznał, ani po wyglądzie, ani po pracy silnika. Wszystko to bowiem maszyny na chodzie. A jakby i tego było mało, w końcu podwórza lśni kadłub samolotu, na razie bez skrzydeł, a na przydomowym poligonie stoi potężny ciągnik gąsienicowy z czasów II wojny światowej.

– Kilkanaście lat temu – wspomina **Jacek Pniewski**, założyciel, a dziś prezes Ogólnopolskiego Towarzystwa Miłośników i Kolekcjonerów Pamiątek II Wojny Światowej, znany w całej Europie zbieracz militariów – kolega pochwalił się, że u jego dziadka w stodole stoi jakiś stary motocykl. Mnie motory pasjonowały od dawna, więc zaraz się do tej stodoły wybrałem. To był niemiecki motocykl wojskowy EM-72, na dodatek z koszem. Po wojnie jeździły takimi motocyklami milicja i wojsko. Odnowiłem go, doprowadziłem do użytku i tak to się zaczęło.

Kolekcjonowanie militariów, szczególnie o tak dużych gabarytach, tyle lat po wojnie, nie jest sprawą łatwą. Większość starych czołgów, transporterów i artyleryjskich ciągników albo spoczywa w ziemi, albo przerobiona została na żyletki. Jeśli nie kupuje się czegoś od innego kolekcjonera albo nie kupuje informacji, trzeba iść śladem plotki. Od wioski do wioski, od stodoły do stodoły. Te kryte strzechą, jeśli jeszcze się trafiają, kryją największe skarby.

Tak w kolekcji Jacka Pniewskiego znalazła się lufa 150-milimetrowej armaty, która służyła jako podpora dachu w świńskim chlewie. Są motocykle, choćby przepiękny BMW, wyciągnięte z czeluści starych kurników i hełmy, z których karmiono gdzieś tam kaczki.

– To wszystko zostało doczyszczone, dopieszczone i jest na chodzie – podkreśla z dumą pan Jacek. – Lecz trzeba było to gdzieś ustawić. Kupiłem kawał ziemi w pobliżu domu i urządziłem poligon. Pokopałem doły i wodne przeszkody. Pozostało tylko ściągnąć do Zelowa takich samych pasjonatów, jak ja. Udało się i w 1997 roku, właśnie w Pożdżenicach, odbyły się pierwsze na świecie wyścigi czołgów.

Na tym pierwszym zlocie – w sumie odbyły się już trzy – zjawiły się 32 pojazdy. Był słynny T-34, TP-72, czyli radziecki czołg pływający, amfibia, M-11B z Niemiec i amerykańska ciężarówka z czarnoskórym kierowcą. Ten kierowca pełnił zresztą rolę świadka na ślubie Doroty i Jacka Pniewskich, zaś za ślubny kobierzec posłużył pancerz radzieckiej „trzydziestki czwórki".

– To było trochę nie tak – lekko prostuje pani Dorota. – Faktycznie braliśmy ślub w czasie pierwszego zlotu, do czego namówili nas koledzy. Pomyślałam: dlaczego nie? Skoro te maszyny są taką pasją Jacka, i mnie się ona po trosze udzieliła. Ale w rzeczywistości ślub odbył się w kościele. Tylko szampan i zdjęcia były na czołgu.

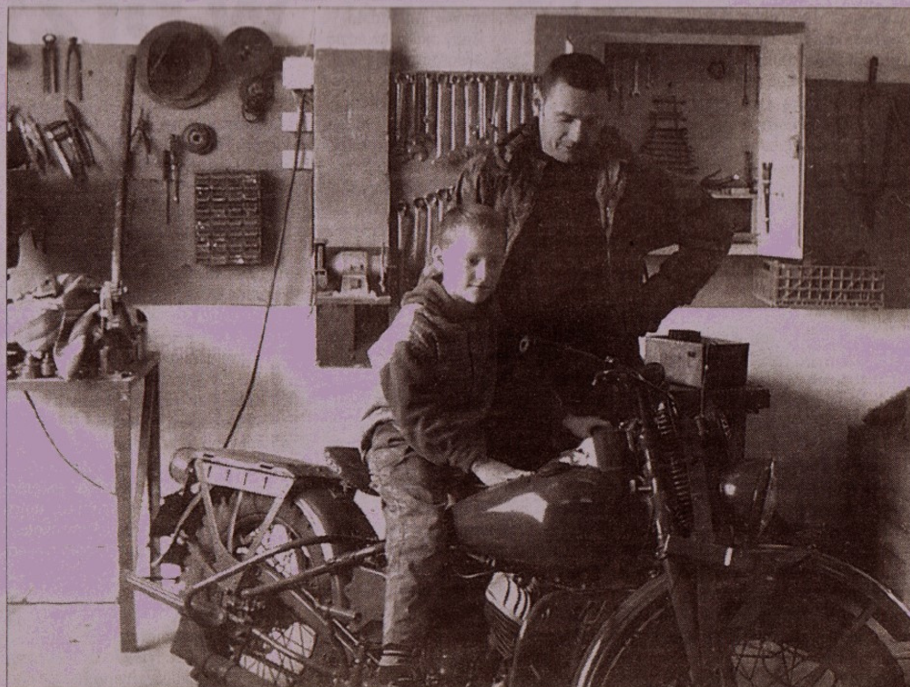
Kolejne zelowskie zloty kolekcjonerów militariów gromadziły już 150 i ponad 300 pojazdów. W Zelowie do dziś wspominają ze śmiechem konsternację rajców miejskich, gdy na ciche zazwyczaj ulice miasteczka wyległo z rykiem silników kilkadziesiąt harleyów, BMW, zundappów i transporterów opancerzonych.

To, co w Zelowie budziło sensację, a po trosze zgorszenie, przydało się bardzo na planie kilku polskich filmów batalistycznych, w których zagrały pojazdy pana Jacka, podobnie zresztą jak on sam.

Najpierw był „Berlin 45", kręcony we Wrocławiu. Tam pan Jacek Pniewski, z żalem, bo z żalem, ale pożegnać się musiał z wojskowym volkswagenem z II wojny. Scenariusz wymagał, by samochód spłonął. Później były „Demony wojny", zaś ostatnio „Słoneczne włócznie" Jerzego Łukaszewicza. No i został obszerny, piękny dom w teksaskim stylu, własnoręcznie wybudowany w Pożdżenicach przez pana Jacka z... elementów dekoracji, jaka zachowała się z planu „Berlina 45".

– Kiedyś – mówi Jacek Pniewski – marzyłem, by mieć czołg. Odkopałem nawet niemiecką Phanter 4, ale była rozłupana na cztery kawałki tak, że nie dałoby się jej uruchomić. O czołgu już nie marzę. Stał się dziś zbyt realny. Upatrzyłem już sobie teren i buduję lotnisko. Musi to być miejsce, z którego nie będzie widać domów, drutów, kominów. Żeby nadawało się na plan filmowy. Mam też upatrzony samolot na chodzie, starego Antonowa, czyli popularnego Antka. Póki nie zrobię uprawnień pilota, zgodził się go pilotować emerytowany pilot wojskowy z Łasku.

Sławomir Orlicki



Jacek Pniewski z synem, który odziedziczył ojcowską pasję

FOT. SŁAWOMIR ORLICKI







Stojący na podwórku jeep z napisem IFOR ma filmową przeszłość

FOT. SŁAWOMIR ORLICKI

Jacek Pniewski

IV Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych Pożdżenice '99

Uważają go za wariata...

Ci, którzy byli w Pożdżenicach w roku ubiegłym, mieli nadzieję, że tym razem będzie jeszcze lepiej. Spodziewano się nawałnicy sprzętu militarnego. Tymczasem okazało się, że z dużej chmury mały deszcz. Do Pożdżenic nie zawitał ani jeden czołg.

Całe szczęście, że była licząca ponad 40 lat amfibia wyprodukowana w Związku Radzieckim, a będąca wierną kopią amerykańskiej GPA - używanej w czasie II wojny światowej. Właścicielem sprawnej amfibii jest organizator zlotu **Jacek Pniewski**, który nie robił tragedii z tego, że impreza jest gorsza niż przed rokiem. - To prawda, że teraz gościmy mniej uczestników - mówi J. Pniewski. - Ubiegłoroczny zlot przerósł nas. Nie byliśmy przygotowani finansowo, a nikt nas nie chce wspomóc. W tym samym czasie podobna impreza odbywa się w Darłowie i to tam zapewne pojechali ci, na których liczyliśmy. Wiem, że jest tam Niemiec **Peter Muller** ze swoim czołgiem-amfibią M-13 na gumowych kołach. Tam także jest nasza ubiegłoroczna „gwiazda" czyli Amerykanin **Herman Pfauter**, który poprzednio zawitał do Pożdżenic samochodem GMC CCKW wyprodukowanym w roku 1943.



DARIUSZ PIEKARCZYK

„Utrwaliła się legenda Pożdżenic" - mówi Jacek Pniewski



DARIUSZ PIEKARCZYK

Przedwojenny policjant za kierownicą UAZ-a. W Pożdżenicach to możliwe.

- Nie narzekam jednak. Mamy gości z Kanady, Niemiec i także USA. Są żołnierze amerykańscy stacjonujący w jednej z baz pod Monachium. Przyjechali ciężarowym Krazem.

J.Pniewski w środowisku kolekcjonerów militariów nazywany jest Jazzmanem. To z racji miłości do owego gatunku muzyki. Jak sam mówi, niektórzy uważają go za wariata. - A co w tym złego, że kocham stary sprzęt bojowy? Jedni zbierają znaczki, a ja militaria. Nie wiem, czy panu wiadomo, ale dwa lata temu nawet do ślubu pojechałem na czołgu. Chciałem, żeby było oryginalnie. No i było, bowiem nawet świadkowie byli trochę nie z tej ziemi. Amerykański pilot ze stanu Colorado oraz Mozambijczyk. Sam orszak weselny miał parę kilometrów. Pojazdy militarne jechały jeden za drugim. Ależ to był widok - wyraźnie ożywia się Pniewski. - Dech w piersiach zapierało. Niektórzy mieszkańcy Pożdżenic pukali się w czoło, lecz w głębi duszy zazdrościli. Niech pan żałuje, że nie był wówczas z nami. Jak narodził się pomysł zlotu? Po raz pierwszy spotkaliśmy się trzy lata temu. Potem poszło już siłą rozpędu - kończy J.Pniewski.

Zlotowi przypisany jest deszcz. Co do tego nie mam wątpliwości. Jeśli jest deszcz to i błoto. Tak było rok temu, tak było i w ostatni weekend. Nic więc dziwnego, że niektóre pojazdy zapadały się w mazi po osie. Całe szczęście, że był Kraz. Ten w razie potrzeby wyciągał nieszczęśników z błota.

Rozmokła ziemia sprzyjała „piechurom", którzy nie mieli kłopotów z drążeniem ziemianek i okopów. - Przyjechaliśmy do Pożdżenic po raz pierwszy z kolegą - mówi siedemnastoletni gdańszczanin **Jacek Rank**. Choć pogoda nie sprzyja, to jesteśmy zadowoleni. Mamy okazję zobaczyć umundurowania z II wojny światowej. Ten okres interesuje nas specjalnie. Jest możliwość przejechać się na motocyklu z przyczepą, czyli takim o jakim marzę.

Mamy z sobą namiot, ale chcemy zakosztować warunków polowych, dlatego budujemy ziemiankę.

Huk wielki wdziera się raptem w uszy zebranych na placu „żołnierzy". Nikt jednak nie wpada w panikę. Wprawne ucho odróżnia ów warkot. To „Jazzman" postanowił zaprezentować wszystkie walory swojej amfibii. Wprawdzie początek nie jest zbyt udany, bowiem zgnieciona zostaje beczka z paliwem, lecz potem wszystko idzie już gładko. „Staruszka" mknie przez błoto i kałuże jakby dopiero wyjechała z fabryki. Może przypomniała sobie lata świetności? Kto wie? W każdym razie robi za „królową" zlotu.

Najwięcej do Pożdżenic zjechało jeepów. Królowały oczywiście UAZ-y. Były także GAZ-y, Land Rovery, Rovery i takie nie wiadomo co, bo pojazdy własnej konstrukcji. Jednym z takich dziwaków przyjechał z Krakowa **Krzysztof Matusiak** ze swoją dziewczyną Kasią. - Ja ten pojazd montowałem przez dwa lata. Silnik ma od UAZ-a. Dzięki temu wszędzie wjadę. A dziwna konstrukcja? Chciałem żeby było oryginalnie, żeby auto rzucało się w oczy. I chyba tak jest. Prawda?

Zainteresowanie wzbudzały oczywiście różnego rodzaju mundury. Największym wzięciem cieszyły się niemieckie z II wojny światowej. - Mam na sobie bluzę oficera niemieckiego z Afrika Corps. To powód mojej dumy. Nikt nie ma podobnej, nie tylko w Pożdżenicach, ale i w Świętochłowicach, gdzie mieszkam - mówi **Maciej Matuszek**. Proszę sobie wyobrazić, że bluzę kupiłem na bazarze za parę groszy. Ten, który mi ją sprzedał, chyba nie był normalny - kończy.



DARIUSZ PIEKARCZYK

Takim oto „dziwakiem" przyjechał do Pożdżenic z Krakowa Krzysztof ze swoją dziewczyną Kasią

Były także mundury polskiej policji z czasów II Rzeczypospolitej, Wojska Polskiego na Zachodzie, a także I i II Armii Ludowego Wojska Polskiego. Byli i tacy, co paradowali w uniformach używanych obecnie w armiach NATO. Na nich nikt jednak wielkiej nie zwracał uwagi.

- Wie pan co, ja mimo wszystko jestem ze zlotu zadowolony. Utrwaliła się legenda Pożdżenic, a o to przecież chodzi. Myślę zresztą, że na następny zlot to sam sobie czołg wykołuję. Wiem o jednym, który jest zatopiony w Warcie koło Sieradza. Niech tylko trochę odpocznę, to zajmę się jego wydobyciem. Cóż, trzeba sobie radzić - kończy optymistycznie Pniewski.



DARIUSZ PIEKARCZYK

Dariusz Pierakczyk

Przyjechali „militaryści" z całego świata

Wanna z klarnetem

Dorota, zgrabna szatynka w czarnej szpanerskiej kurtce i skórzanych spodniach, jest plastyczką. W Łodzi prowadzi zakład odzieżowy. Do przyjazdu do Poźdżenic nie trzeba było jej namawiać. Kocha wehikuły wojskowe. Na co dzień jeździ sportową mazdą, lecz tak naprawdę woli swojego „Czapajewa", GAZ-a z 1943 roku. W nim czuje się wolna.

Tomek Frącala, też łodzianin, właściciel willysa i dodge'a z czasów II wojny światowej, na III Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych w Poźdżenicach przyjechał z żoną Małgorzatą i czteroletnim synem Michałem. Swój nowy nabytek - willysa z silnikiem Opla - skończył składać dwa dni temu. Śpieszył się. Chciał go koniecznie pokazać.

- Największy problem miałem z częściami zamiennymi - mówi. - Po niektóre z nich musiałem jeździć aż do Niemiec, pod granicę z Francją. Opony natomiast ściągałem z Czech. Za to, co już włożyłem w ten samochód, mógłbym


Niemiecki transporter opancerzony

spokojnie kupić nowego Poloneza. Tomek jest prawdziwym miłośnikiem techniki wojskowej. Swoje pojazdy remontuje samodzielnie i należy do sekcji samochodowej łódzkiego klubu „Number One". Pasjonuje się także historią dywizji pancernej generała Maczka. Wszystkie jego maszyny mają oznakowania tej jednostki.

W hitlerowskim mundurze

Na 2,5-hektarowej prywatnej łące Jacka Pniewskiego, głównego organizatora i komandora zlotu, zwanego przez wszystkich „Jazzmanem", aż roi się od mundurowych. Tu w dobrym tonie jest uchodzić za „nieujarzmionego twardziela". Modę wyznaczają czarne, skórzane kurtki, ale najwięcej jest osób w mundurach amerykańskich typu Woodland. Są również „żołnierze" Armii Czerwonej z fasonem udekorowani rzędami świecących medali. Największe jednak zainteresowanie wzbudza wysoki, młody mężczyzna w hitlerowskim mundurze.

- A przecież uprzedzałem organizatorów, by uczestnicy zlotu nie posługiwali się symboliką hitlerowską - tłumaczy burmistrz Zelowa Sławomir Malinowski - Opozycja w Radzie Miejskiej i jedna z mieszkanek miasta zarzuciła mi, że chcę dofinansować zlot neofaszystów. Z tych zarzutów musiałem też solidnie się tłumaczyć w Regionalnej Izbie Obrachunkowej w Łodzi.

Nic dziwnego, że tak było. Mieszkańcy Zelowa dobrze pamiętają ubiegłoroczną defiladę uczestników zlotu w hitlerowskich mundurach przed pomnikiem Tadeusza Kościuszki.

Z demobilu

Tego roku w Poźdżenicach zjawiła się międzynarodowa obsada. Z Niemiec przyjechał Mark Buller, oficer stacjonującej tam jednostki armii amerykańskiej i jego wielka ciężarówka Reo, pamiętająca czasy wojny wietnamskiej, oraz Ottmar Burkhard z pływającym czołgiem. Wehikuł Niemca jeszcze na początku lat osiemdziesiątych służył w armii amerykańskiej. Wcześniej takie pojazdy walczyły w Wietnamie. Jest to czołg rozpoznawczy, napędzany silnikiem Diesla, z automatyczną skrzynią biegów, kevlarowym wzmocnieniem pancerza i nakładkami gumowymi na gąsienice do jazdy po szosie. Maszyna mimo swych lat imponuje szybkością, zwrotnością i lekkością manewrowania. Widać, że jej właściciel wkłada w nią nie tylko serce.

- Całe szczęście, że moja żona jest tolerancyjna - śmieje się - i pozwala mi robić to co lubię. Wielu moich kolegów się rozwiodło albo zrezygnowało z uprawiania tego hobby. Pochłania ono bowiem dużo czasu i pieniędzy.

Inny uczestnik zlotu, Herman Pfauter, przyjechał do Poźdżenic aż z Santa Barbara w Kalifornii. O imprezie w Polsce przeczytał w gazecie. Nie zastanawiał się długo. Załadował swoją zabytkową ciężarówkę na statek i przyjechał do Stuttgartu. Stamtąd do Poźdżenic dotarł już na kołach.

Herman mówi, że lubi przyjeżdżać do Europy. Tu bowiem może bez przeszkód cały swój czas spędzać na zlotach pojazdów militarnych i uganiać się za staroćiami z demobilu.


PT-76 rusza w bój...


Przyjechała Armia Czerwona

Na platformie

Maciej i Stanisław Kęszyccy z Warszawy są posiadaczami jednej z największych w Polsce prywatnych kolekcji zabytków techniki wojskowej. Na jej utrzymanie, jak mówi Stanisław, młodszy z braci, idą krocie, a największym problemem nie jest zakup pojazdu, lecz jego znalezienie i utrzymanie. Nowy nabytek, który przywieźli na zlot, znaleźli na dnie Pilicy. Ich niemiecki transporter opancerzony SDKfz 251 D/7 z 1943 roku był w centrum zainteresowania. Kanciasty, dziwaczny, wyposażony w osłonięte pancerzem stanowisko przedniego karabinu maszynowego wywoływał u widzów ... kąpielowe skojarzenia. Nie bez przyczyny. W czasie wojny przez żołnierzy polskiego podziemia nazywany był „wanną z klarnetem". Znany był również jako „blaszana trumienka na kołach". Jak użytecznym był on narzędziem walki, żołnierze Armii Krajowej przekonali się w czasie Powstania Warszawskiego. Zdobyte przez nich dwie „blaszane trumienki na kołach" dobrze dały się we znaki Niemcom podczas szturmu na zamieniony w twierdzę Uniwersytet Warszawski.

Odpalają czołgi i transportery opancerzone. Powietrze przeszywa ryk motorów i smród spalin. Maszyny tocząc gejzery błota meldują się sprawnie na torze przeszkód. Jest T-34 ucharakteryzowany na „Panterę", który do Poźdżenic przyjechał wprost z planu filmowego „Złoto dla dezerterów", WZT-1 znakomicie odrestaurowany wóz zabezpieczenia technicznego, transporter opancerzony OT 810, wyprodukowany w czasie drugiej wojny światowej przez Czechów dla Niemców i czołg pływający PT-76 B Henryka Woźniaka ze Skarszewa w województwie gdańskim. Właściciel tego pływającego cacka żałuje, że jego pojazd nie może zademonstrować swoich możliwości pokonywania przeszkód wodnych.


Ciężarówka Reo wzbudziła prawdziwą sensację

- Trudno - kwituje. - Popływam jak wrócę do domu. Mam 200 hektarów terenu i jezioro.

Woźniak, niewysoki młody mężczyzna, jest byłym czołgistą. W armii służył na T-72. Na czołgach zna się zatem doskonale. Jego maszyna, którą pokazuje w Poźdżenicach, odbudowana została wspaniale, z wielkim pietyzmem. Nie mogło być inaczej - zapewnia. - Silnik ma bowiem tak wysokie obroty, że każda nieoryginalna część wysiada już po kilku minutach pracy. A tak - wskazuje na czołg forsujący potężny nasyp - z jazdą nie ma problemów.

W III Międzynarodowym Zlocie Pojazdów Militarnych wzięło udział ok. 400 uczestników z kraju, Niemiec, Austrii i Stanów Zjednoczonych. Zaprezentowano ponad 200 różnych motocykli, pojazdów gąsienicowych, jeepów, amfibii, transporterów opancerzonych i czołgów. Szkoda tylko, że szyki pomieszał uczestnikom deszcz...

EDWARD MAZURKOW

FOTO: AUTORA



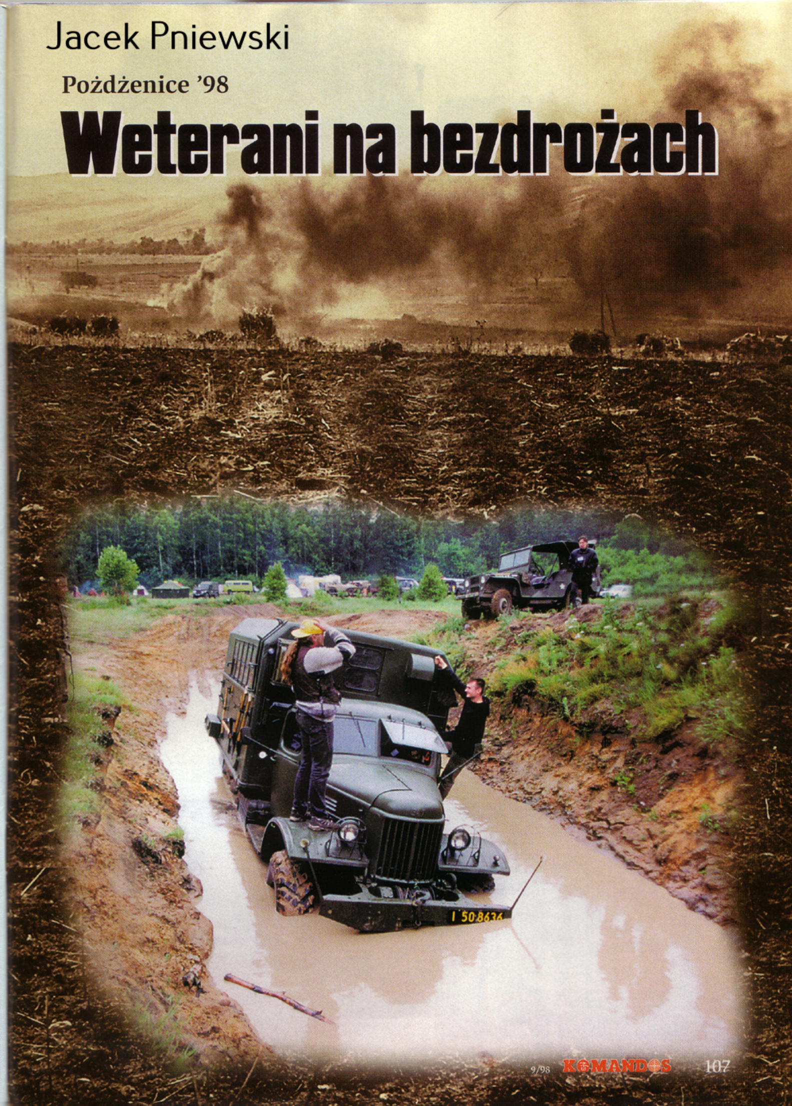




Jacek Pniewski

Pożdżenice '98

Weterani na bezdrożach





Pod koniec pierwszej połowy czerwca można było spotkać na naszych drogach różne pojazdy typu militarnego, poruszające się na cywilnych tablicach rejestracyjnych, nie zawsze polskich. Wszystkie te pojazdy, poczynając od motocykli, a kończąc na potężnych ciężarówkach ciągnących na przyczepach transportery gąsiennicowe i czołgi, kierowały się w stronę centralnej Polski, gdzie w niewielkim miasteczku Zelów, położonym w połowie drogi pomiędzy Bełchatowem a Łaskiem, odbywał się w dniach 12–14 czerwca br. III Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych Pożdżenice '98. Ta największa w Polsce impreza dla posiadaczy i miłośników pojazdów militarnych zgromadziła przeszło 300 załóg. W przeważającej większości byli to rodzimi fanatycy militariów, lecz nie brakło również przedstawicieli Niemiec, Austrii i USA; był też Węgier i Anglik. Rekordzistą w dojeździe na zlot był Amerykanin, który piękną ciężarówką GMC z r. 1942 wyjechał prawie miesiąc wcześniej ze Stanów. Trzej jego rodacy mieli zdecydowanie bliżej, gdyż – jako zawodowi żołnierze – pełnią obecnie służbę w bazach na terenie Niemiec.

Zgromadzone samochody i motocykle reprezentowały pojazdy używane przez różne armie w okresie od końca lat międzywojennych do czasów współczesnych. Najstarsze, przedwojenne, to polskie motocykle Sokół oraz niemieckie NSU i BMW. Pojazdy z okresu II wojny światowej i pierwszych lat powojennych to przede wszystkim amerykańskie jeepy, czyli Willys MB i Ford GPW, oraz większe Dodge 3/4 tony, jak również motocykle Harley-Davidson. Stronę niemiecką reprezentowały volkswageny – trzy „kübelwageny" typ 82 oraz jedna amfibia typ 166, a także motocykle z napędem na koło wózka bocznego BMW R-75 i Zundapp KS-750. Można było także spotkać









używane przez armię radziecką samochody GAZ 67B „Czapajew" czy motocykle M-72. Z lat późniejszych pochodziły najliczniej reprezentowane na zlocie radzieckie lekkie samochody terenowe GAZ 69 i UAZ oraz motocykle K-750, Ural i Dniepr. Konkurowały z nimi brytyjskie landrovery oraz amerykańskie i licencyjne rozwinięcia willysa, jak również zupełnie współczesne samochody terenowe, z hummerem na czele. Klasa ciężka to amerykańskie studebakery i GMC oraz radzieckie KRAZ i ZIS. Największą jednak atrakcją były pojazdy gąsiennicowe; najcięższe i największe z nich to czołgi T-34 i PT-76 oraz stacja radiolokacyjna na czołgowym podwoziu; lżejsze to transporter M-113 i pochodzące z okresu II wojny niemieckie kołowo-gąsiennicowe transportery SDKfZ 251 oraz ich powojenna czeska wersja OT-810, a także amerykański Half-truck.

Pojazdy pływające to, poza wspomnianym już VW-166, dwa MAW-y (jeden przyjechał z Niemiec), duży BAW i gąsienicowy BTS. Większość wymienionych pojazdów wzięła udział w zorganizowanym wyjeździe do odległego o kilkanaście kilometrów Łasku, gdzie stanowiły jedną z atrakcji odbywającego się w tym czasie „Jarmarku Łaskiego". W Łasku również można było zobaczyć pływającą amfibię MAW oraz obejrzeć efekty pirotechniczne przygotowane przez ekipę obsługującą filmowców. Po powrocie do bazy mieszczącej się na prywatnym terenie Jacka Pniewskiego, głównego organizatora zlotu, załogi pojazdów, najczęściej ubrane w stroje typu militarnego, często kompletne mundury z okresu wyprodukowania pojazdu, wymieszały się z tłumnie zgromadzonymi mieszkańcami i wspólnie oglądały próby pokonywania przeszkód terenowych, które niejednokrotnie kończyły się ugrzęźnięciem pojazdu i koniecznością wezwania pomocy ciężkiego sprzętu. Jak przystało na zlot militarny z mocnymi akcentami amerykańskimi, nie zabrakło również elementów scenografii nawiązujących do wojny w Wietnamie: zbudowano umocnienia polowe z wieżyczką obserwacyjną, nad którą powiewała amerykańska flaga, a obok stał drogowskaz z podanymi odległościami do Los Angeles, Kansas, Hongkongu i Hanoi. Tegoroczny Zlot Pojazdów Militarnych, mimo że odbywał się przy niesprzyjających warunkach pogodowych, zgromadził znacznie więcej uczestników w porównaniu z poprzednim, ale także zawierał nowe atrakcje. Należy mieć nadzieję, że podobna impreza zostanie zorganizowana również w przyszłym roku i będzie się cieszyć jeszcze większym powodzeniem wśród miłośników i sympatyków pojazdów militarnych.

Bohdan Mączyński

Fot. autor







Węzeł MAŁŻEŃSKI

Miłość można sobie przysięgać na plaży lub w kopalni



Czołgiem do ślubu. Jacek i Dorota z Warszawy urządzili militarne wesele

Ona w bordowej sukni z bukietem z gałązek, on we fraku i bordowej żakardowej kamizelce. Sakramentalne „tak" powiedzą przy dźwiękach skrzypiec; na bankiecie otrzymają zamówione wcześniej prezenty, a chwilę potem - odprowadzani przez kamery - opuszczą gości i wyruszą na Karaiby. Taki jest scenariusz modnego ślubu przełomu wieków.

Ślub końca XX wieku powinien być przede wszystkim oryginalny. Można go wziąć w ogromnym akwarium, w towarzystwie rybek i rekinów (nowożeńcy zamiast słów przysięgi pokazują stojącemu za szybą urzędnikowi tabliczki z napisem „tak"); na dachu Empire State Building; wisząc na linach rozpiętych między wieżowcami w Las Vegas; galopując o wschodzie słońca na koniach czy siedząc przed ekranem komputera i korzystając z Internetu. Modny jest ślub na Karaibach (ok. 500 USD) czy w kaplicy św. Kingi w kopalni soli w Wieliczce (ok. 1500 zł). W Koszalinie głośny był ślub Agnieszki i Piotra. Młodzi powiedzieli sobie „tak" w gondoli balonu, 150 metrów nad miastem. Nad krakowskimi Błoniami (100 metrów nad ziemią) miłość przysięgli sobie z kolei Izabela i Sławomir. Kilka sekund po tym symbolicznym ślubie oboje wyskoczyli ze spadochronami, a na ziemi zalegalizowali swój związek w USC. Jacek i Dorota z Warszawy do ślubu jechali... czołgiem T-34. W weselnym orszaku jeepy, uazy, dodge i harleye-davidsony wiozły gości poprzebieranych w mundury niemieckich i radzieckich żołnierzy.

Ślub powinien zadziwić oryginalnością, wystawnością lub sprawnością organizacji

Ważne, by gości zadziwić: oryginalnością, wystawnością lub sprawnością organizacji. Dzięki temu ślub ma szansę zostać okrzyknięty przez media „ślubem stulecia" i jako taki służyć za niedościgły wzór kolejnym parom nowożeńców. Victoria Adams, eksgwiazda zespołu Spice Girls, wychodząc za Davida Beckhama, piłkarza Manchesteru United, miała na sobie „prostą ślubną sukienkę w kolorze szampana, z najlepszej na świecie włoskiej satyny Clerici Duchess, a pod spodem halkę z 50 metrów tiulu usztywnionego końskim włosem". Sophie Rhys-Jones od przyszłego męża, księcia Edwarda, otrzymała w prezencie suknię ślubną z ręcznie wytłaczanego jedwabiu, do której przyszyto 325 tys. perełek. Top modelka Adriana Sklenarikowa wraz z przyszłym mężem, piłkarzem Christianem Karembeu, na weselne przyjęcie szła po dwustumetrowym dywanie obsypanym tonami płatków róż.

Coraz bardziej popularne są listy ślubnych prezentów. Dodawane do zaproszeń, wręczane starszej druhnie (z cenami i adresami sklepów) lub wystawiane w sklepie. Listy są zazwyczaj układane tak, by każdy z gości znalazł na nich coś dla siebie. Można na przykład kupić wazę z serwisu obiadowego Wedgwooda czy filiżankę Versacego, ale także zwykłą „niemarkową" solniczkę. Nie słabnącą popularnością cieszą się garnki i sztućce z nierdzewnej stali, sprzęt AGD, srebro i szkło dekoracyjne. - Wszyscy są zadowoleni. Goście, bo nie tracą czasu na szukanie i wymyślanie prezentu. Nowożeńcy, bo nie dostają trzech mikserów czy dwóch kuchenek mikrofalowych. Koniec z fałszywą skromnością i stertą niepotrzebnych prezentów - mówią sprzedawcy.

Zamiast na widowiskowość coraz więcej Polaków stawia na jakość. Suknia ślubna to dziś wydatek sięgający nawet 21 tys. zł. W polskich salonach bez problemu można dziś kupić kreacje Christiana Lacroix, Laury Ashley, zamówić suknię z kolekcji Christiana Diora czy Soni Rykiel. Suknia to jednak nie wszystko. Panna młoda do wydatków dolicza ekskluzywną bieliznę (do 1 tys. zł), bukiet (do 600 zł), buty (do 2 tys. zł) i makijaż (do 80 zł). Z biżuterii coraz modniejsze jest białe złoto (świetnie podkreśla urok brylantu w pierścionku zaręczynowym). Jubilerzy przewidują, że w przyszłym sezonie modne będą obrączki skromne, raczej cienkie, z białego albo biało-żółtego złota. Biżuteria dla panny młodej to często tylko perły. Im większe, tym lepsze. W kolorze kremowym, łososiowym, śliwkowym i koralowym, barwione na złoto i srebrno. Dla pana - spinki (z masy perłowej, czarnego onyksu lub srebra czy złota).

Ślub kościelny uświetniają kompozycje Mozarta, Schuberta albo Bacha. Modne są skrzypce albo chórki. Na weselu goście mogą się bawić w rytm muzyki dance, rock, a nawet techno. Disc jockeya albo zespół muzyczny można poprosić o współczesne szlagiery, piosenki biesiadne, włoskie przeboje, gorące rytmy latynoamerykańskie i spokojny jazz, a także o „coś w stylu country". Najlepsi za cztery godziny grania na weselu inkasują 10 tys. zł. Tradycjonaliści nawet na wesele w japońskiej restauracji czy ekskluzywnym hotelu zamawiają wodzireja, który zorganizuje oczepiny i zaintonuje staropolskie weselne przyśpiewki. Obsłudze płaci się także za witanie nowożeńców chlebem i solą, dyskotekową feerię świateł czy brzoskwiniowe dymy. W weselnym menu może się znaleźć pieczona kaczka z jabłkami i sosem rodzynkowym oraz mus z wątróbek, ale też podsmażane ziemniaki ze słoniną czy chleb ze smalcem i kiszonym ogórkiem. Koszt przyjęcia - nawet do kilkuset złotych na osobę.

Świetną pamiątką są po ślubie zdjęcia retro w zabytkowych wnętrzach i „reportaże wideo" kręcone (w systemie cyfrowym) kilkoma kamerami. Ostatnio dokręca się przed ślubem tzw. spacery: dwa tygodnie przed uroczystością młodzi wybierają się w malowniczy zakątek miasta, gdzie przed kamerą inscenizują pierwsze spotkanie. Jeśli preferują scenariusz amerykański i po bankiecie (zamiast wesela) jadą prosto w podróż poślubną, kamerzysta towarzyszy im aż do odprawy paszportowej na lotnisku. W dobrym ślubnym reportażu muszą się znaleźć efekty specjalne: lustrzane odwracanie kadrów, zwolnienia, powtórki i triki komputerowe wzorowane na teledyskach Michaela Jacksona: dorysowywanie gościom wielkich nosów, odstających uszu, zmienianie koloru włosów itp. Przebojem mijającego sezonu jest sepia - na koniec ślubnego reportażu kilkuminutowa zwolniona powtórka całego ślubu i wesela. Na tak przygotowany fotoreportaż trzeba wydać nawet 9 tys. zł.



Tradycyjnie i szykownie. Phil Collins i jego wybranka Orianne przed kościołem w Lozannie



Suknie powinny delikatnie otulać i wydłużać sylwetkę

Suknia ślubna na następny sezon powinna być przede wszystkim prosta i bardzo elegancka. Dużo jest w modzie ślubnej przezroczystych elementów: szyfonowych rękawków, pelerynek, szali. Przeważają modele z jedwabnego muślinu, tafty, satyny albo atłasu. Zdobione skromnymi i dyskretnymi falbankami, koronkami, perełkami albo niewielkimi kwiatuszkami. Minęła moda na suknie przypominające bezy: łączące atłas, koronkę, gipiurę i szyfon. Liczy się minimalizm w świetnym wykonaniu. Modele sukni są więc zdecydowanie smuklejsze, często odcinane pod biustem; jeśli wielowarstwowe, to delikatnie otulające i wydłużające sylwetkę. Modna suknia ślubna często składa się z dwóch części: gorsetu i rozkloszowanej spódnicy na sztywnej halce. Przebojem nadchodzącego sezonu będzie złoty albo srebrny haft na gorsecie.

Na Dorocznej Wielkiej Gali Weselnej królowały biel i écru; coraz modniejsze są również odważne zestawienia złota, granatu i bordo, a także stroje z pastelowymi dodatkami. Christian Lacroix w kolekcji Siderale 2000 odważnym paniom proponuje suknię różowo-srebrną, z różowym welonem i malinowym szalem. Zamiast długiego trenu suknia powinna być lekko wydłużona. Tego lata do ślubu zakładało się welon obszyty grubą jedwabną taśmą, wielowarstwowy, z tyłu sięgający do stóp. W nadchodzącym sezonie przyjdzie pora na welon obszywany koronką, choć nadal długi, powłóczysty i miękki. Można też z welonu zrezygnować, zastępując go jedynie kwiatami we włosach (girlandami kwiatów dekoruje się też kościół). Przebojem będą rękawiczki. Długie do łokcia - przy gorsecie bez rękawów albo króciutkie do sukni z rękawkami. Zawsze pełne i zakrywające całą dłoń. Ślubny bukiet przypomina często stroik: kwiatów jest niewiele, ale za to dużo liści, gałązek, sznurka, a nawet paździerza.

Męski strój ślubny powinien harmonizować z suknią panny młodej. Najlepiej, by był to smoking, frak albo klasyczny żakiet i sztuczkowe spodnie, żakardowa albo atłasowa kamizelka. Ślubny garnitur ma nieco dłuższą, zapinaną na cztery guziki marynarkę. Modne kolory to gamy ciemnych granatów i czerni, ale także wszystkie odcienie szarości, zwłaszcza grafit. Kolor, a nawet odcień koszuli powinien być dopasowany do koloru sukni ślubnej. Jeśli panna młoda ma strój w kolorze écru, jej przyszły mąż nie powinien zakładać koszuli śnieżnobiałej. Obowiązkiem będą podwójne mankiety zapinane na spinki. Nowością w męskim stroju jest jedwabny lub żakardowy *lavalier* - gruby węzeł przypominający dwa krawaty, z tyłu kołnierzyka zapinany na rzep. Jeśli krawat, to z luźnym węzłem, o szerokości około ośmiu centymetrów. Para młoda zaprezentuje się bardzo atrakcyjnie, gdy *lavalier* i kamizelka pana młodego będą dokładnie tego samego koloru co gorset sukni panny młodej. Jesienią i zimą ślubne kobierce połączą kolejne szczęśliwe pary. Aż po grób.

Joanna Kostyła
Współpraca: *Ewa Witkowska*

Zdjęcia: AP/Agencja Gazeta, M. Kowal/„Super Express", K. Mikuła

Z Pożdżenic do Jugosławii

Niebywałe szczęście ma w tym roku mieszkaniec podzelowskich Pożdżenic **Jacek Pniewski**. Latem udało mu się zrealizować marzenie życia i pojechać do ślubu czołgiem T - 34 z czasów drugiej wojny światowej, na swojej posesji urządził skansen pojazdów militarnych, gdzie organizuje co roku międzynarodowe zloty miłośników tych pojazdów. Sława pożdżenickiego skansenu rozeszła się po Polsce i dzięki temu jego właściciel nie narzeka na brak pieniędzy na realizację swoich zamierzeń. Pojazdy ze skansenu Jacka Pniewskiego „grają" bowiem w najnowszym filmie Władysława Pasikowskiego, który nosi tytuł „Demony wojny według Goi". W filmie reżysera „Psów" występują same gwiazdy polskiego kina, m. in. Bogusław Linda, Artur Żmijewski, Zbigniew Zamachowski, Olaf Lubaszenko. Zdjęcia kręcone są co prawda nie w Pożdżenicach, ale w okolicach Krakowa, Częstochowy i Kłodzka.

W związku z zaangażowaniem do filmu znanych aktorów sprzęt wojskowy wypożyczony od Pniewskiego musiał być nie tylko „na chodzie", ale też w nienagannym stanie technicznym, o co trudno nawet w polskim wojsku. Jacek Pniewski sprostał jednak temu zadaniu: *Pasikowski powiedział, że tym gazikiem będzie jeździł Zamachowski, a to jest drogi aktor i wszystko musi być w porządku* - wyjaśnia właściciel skansenu.

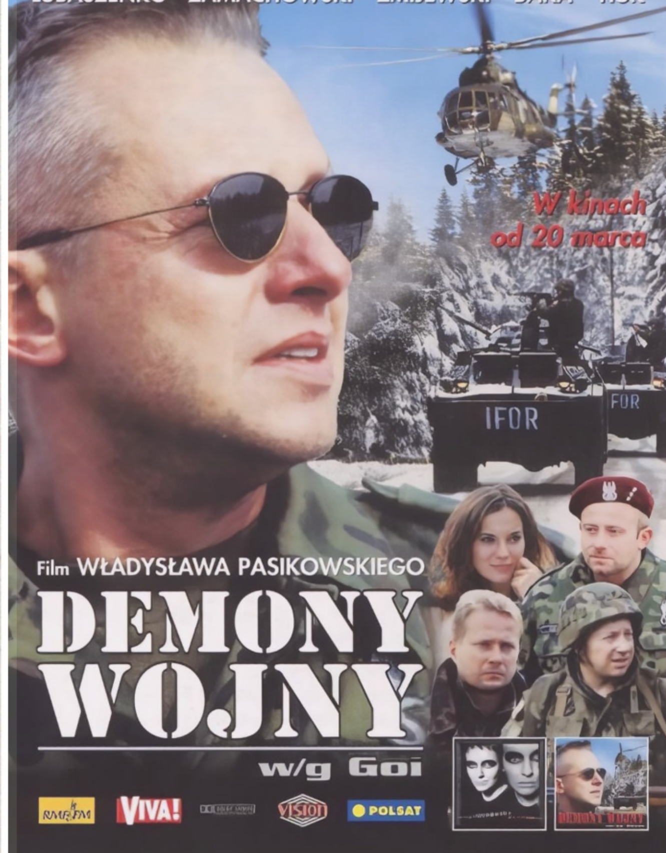


Na zdjęciu: Jacek Pniewski i Olaf Lubaszenko



Na zdjęciu: Jacek Pniewski dogląda swój Gazik

Bełchatowski Tydzień, nr 47 (433) 28 listopada 1997 roku









Bitwa o Podżenice

Wojna z udziałem czołgów, wozów opancerzonych, amfibii, jeepów i motocykli trwa trzy dni i trzy noce. Umocnienia z worków i wieżyczka strzelnicza strzegą prywatnych hektarów łąk Jacka Pniewskiego, pomysłodawcy całego zamieszania. Poligon niczym pola Wietnamu. Zasieki z drutu kolczastego. Wypisz, wymaluj, delta Mekongu.

Paweł Larecki

Żołnierze w hełmach różnych formacji, amerykańskich kurtkach moro, sznurowanych buciorach siedzą w okopach. Leje jak z cebra. Nogi grzęzną po kolana w błocie. Jedynie skośnookich brakuje i „Rambo" nie dojechał. Wybuchy petard. Dym, huk, krzyki „rannych" i jęki „zabitych". Dym , śmiech, złorzeczenia, wielojęzyczny gwar. Mężczyźni wyrośli już z krótkich spodenek, ale czują się znakomicie. Jak w piaskownicy.

Z maleńkiej Kolonii Pożdżenice Pniewski robi światową stolicę pojazdów militarnych. Na Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych przyjechało kilkaset maszyn, a także setki pasjonatów i tysiące obserwatorów. Kolejki do polowych latryn. Okopy usłane kapslami od piwa. Ułańska fantazja? Najemnicy nieźle mają już w czubie. Z polowych kuchni dobiega

zapach bigosu i grochówki.

Handlarze oferują koszulki z nadrukiem, wojskowe uniformy, kubki z Sarajewa z numerem telefonu jednostki. Zimno, siąpi, bilety wstępu po 5 zł. Militarne dziewczyny obejmują czule bahaterów. Za namiotami zużyte prezerwatywy. Frontowa miłość bez granic.

Tablice rejestracyjne samochodów z całego kraju. Parkingi przepełnione. Porządkowi kierują zmotoryzowanych na chłopskie pola. Policjanci zaskoczeni tłokiem. Dwa lata temu gospodarze robili znak krzyża przekonani, że znowu Niemcy Polskę napadli.

Pniewski, pseudo „Jazzman", kupił pod Zelowem kawał ziemi, ale Dorota parę lat przypatrywała się wariactwom Jacka. Dzieci już spore, a dopiero przed rokiem zdecydowała się na ślub.

Do ołtarza przyjechali, rzecz jasna, ruskim czołgiem T-34

w towarzystwie charkotu maszyn, jako że urządzili żeniaczkę podczas zlotu. Księżula aż się przeżegnał, gdy ujrzał świadka - Murzyna w mundurze amerykańskich marines. Dzieciakom Jacka rówieśnicy zazdroszczą: nie muszą małe Pniewskie prosić o zabawki: tatuś żelastwa na podwórku ma pod dostatkiem.

Rozmiary imprezy zaskoczyły nawet Pniewskiego, ale miłośnicy militariów porozumiewają się szybko: telefony, faksy, internet. Starszy pan w hełmofonie, Herman Pfauter z Santa Barbara w Kalifornii, weteran wietnamskiej wojny, siedzi w pochodzącym z 1943 roku samochodzie pancernym GMC CCKW. Zapłacił krocie za kosztowny transport statkiem. Za rok pojawi się ponownie, bo to jedyna okazja do wymiany doświadczeń przez zwariowanych kolekcjonerów.

Peter Mueller, nr 1 niemieckich amfibiowców przyjechał balastową Tatrą z czterema napędami. Na platformie przyciągnął jeszcze amfibię MAF. Z Bremy Ottmar Burchardt przybył czołgiem - amfibią M-13 na gumowych gąsienicach.

Krążą po terenie Maciej i Stanisław Kęszyccy, właściciele największej polskiej kolekcji wozów bojowych. Furorę robi ich SDKfz 251 D/7 - 43, wyciągnięty z mułu rzecznego Pilicy. Renowacja potrwa parę lat, ale pamiątka II wojny wkrótce odpali. Frajda dla każdego: fotka w willysie na chodzie,

parę ujęć kamerą wideo z narzeczoną na lufie ruskiego tanka, teść przy karabinie maszynowym.





Ciżba wokół radiolokacyjnej 36-tonowej stacji wojskowej, będącej na wyposażeniu polskiej armii jeszcze w latach 60. Dymiące transportery z białymi napisami IFOR grały w „Demonach wojny" Pasikowskiego. Furorę robi T-34 przerobiony na hitlerowską „Panterę": dopiero co zjechał z planu filmowego kręconego właśnie „Złota dla dezerterów". Transporter opancerzony OT 810 jak prosto z fabryki. Marian Laskowski potężną amfibię odkupił od Polskiego Ratownictwa Okrętowego za 8 tys. zł. Z Darłówka zrobił tym cielskiem, 600 kilometrów asfaltem. Henryk Woźniak z Gdańska rozebrał wraki trzech czołgów, żeby zmontować jeden lekki czołg pływający PT-76. Gapie pokładają się ze śmiechu: jest nawet żółcióchny „maluch" przerobiony na pokraczny pojazd terenowy.

Napięcie sięga zenitu. Wyścig pojazdów gasienicowych. Jedyna taka konkurencja w świecie. Potworny ryk silników. Godzina opóźnienia. Nawoływania załóg i przekleństwa. Obłoki spalin. Start! Trzy okrążenia przez piaszczyste muldy. Kolosy na pełnym gazie idą wprost na publiczność. Tłum w panice ucieka. Wiadomo, kto siedzi za kierownicą? U stóp wzniesienia gąsienice hamują. Esesmani razem z czterema pancernymi do rana raczą się piwem. Wszak ujrzą się dopiero za rok. Tylko Szarika nigdzie nie widać.

Fot. Anna Frysz



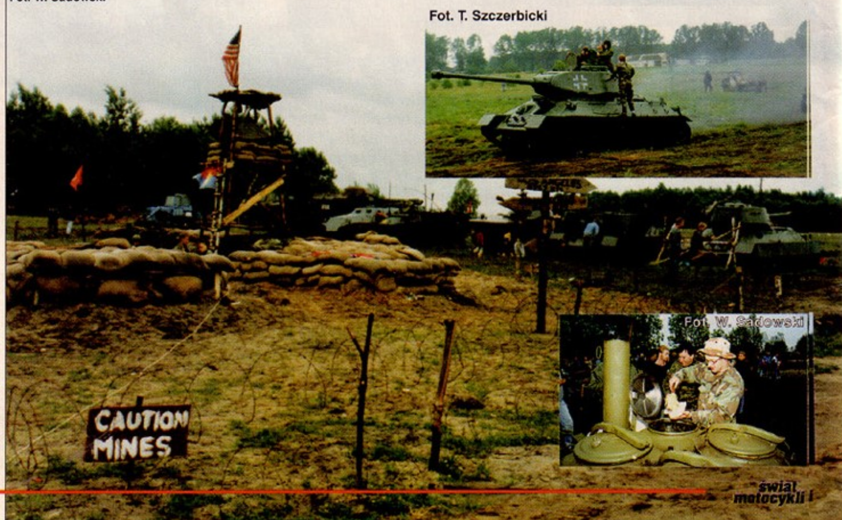


III Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych

Jak na linii frontu

Spotykając w moim życiu tak zwanych „normalnych" ludzi, często słyszę od nich, że jestem „zakręcony, nienormalny, odchylony, zwariowany, itp." dlatego, że mam i pielęgnuję swoją pasję - współczesne i zabytkowe motocykle. Zacząłem nawet zastanawiać się nad sobą i momentami popadać w kompleks „inności, gorszości", jednak po III Międzynarodowym Zlocie Pojazdów Militarnych, gdzie zobaczyłem ludzi zbierających kilkudziesięciotonowe ciężarówki, amfibie, transportery gąsienicowe i czołgi - uświadomiłem sobie, że z moim hobby jestem zupełnie normalnym, szarym człowiekiem i że psycholog ani tym bardziej psychiatra na mnie nie zarobi.

12 - 14 czerwca, w miejscowości Kolonia Pożdżenice w województwie sieradzkim odbył się III Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych. Wbrew moim oczekiwaniom (będąc sceptykiem spodziewałem się, że imprezę opanują radzieckie samochody Gaz 69 i motocykle M-72 i K-750) stało się zupełnie inaczej. Ciężki sprzęt oraz samochody i motocykle uczestniczące w tym zlocie reprezentowane były w stopniu proporcjonalnym do tego, co jeździło w naszym kraju przez ostatnie 60 lat. Na parkingu zlotowym stało kilkadziesiąt ładnie odrestaurowanych i sprawnych: Jeepów Willysów, Dodge 3/4 tony, Gazów 67 i 69, amfibii Gaz 46 MAW oraz Volkswagenów KdF Kubelwagen. Przyjechała też „ciężka kawaleria" w postaci ciężarówek ZIS, Kraz, GMC, dwóch ogromnych transporterów gąsienicowych, kilku mniejszych „half-tracków", dużej (24-osobowej) amfibii desantowej BAW i dwóch czołgów.



Fot. W. Sadowski


Fot. T. Szczerbicki


Fot. W. Sadowski

Reprezentacja motocykli była również bardzo ciekawa i różnorodna; stanowiła około połowy liczby pojazdów, które przyjechały na zlot. Przeważały motocykle radzieckie: M-72, K-750, Ural, Dniepr, było również kilka amerykańskich Harley-Davidsonów WLA, trochę niemieckich motocykli NSU, BMW, Zündapp, DKW. Najstarszym pojazdem na zlocie okazał się polski motocykl Sokół 1000 z 1936 roku, którym przyjechał z Poznania Roman Prałat.

Podczas sobotniej parady w kolumnie motocykli bardzo wyraźnie zaznaczała się liczna reprezentacja łódzkiego klubu „Number 1". W motocyklach, które przyjechały na ten zlot zaskoczyła mnie wielka dbałość o ich wygląd i stan techniczny. Atrakcyjnie prezentowało się wyposażenie w repliki broni, radiostacje, puszki amunicyjne i inny osprzęt militarny. Większość kierowców starała się wystąpić w strojach (mundurach) odpowiadających historycznemu charakterowi ich pojazdów. Tak więc w paradzie na motocyklach M-72 i K-750 jechali „polscy" i „radzieccy żołnierze", wyprzedzani przez patrole Wehrmachtu na motocyklach NSU i Zündapp, a wszyscy oni otoczeni dużą grupą wyglądających na zblazowanych, żujących gumę Amerykanów na Harleyach-Davidsonach WLA.

Gwoździem imprezy miał być wyścig czołgów(!). Nie doszło jednak do niego, można było za to popatrzeć na pokazy sprawności czołgów i ciężkich transporterów gąsienicowych.

Warto również wspomnieć o atrakcyjności terenu zlotu, który wyglądał jak linia prawdziwego frontu, z okopami i zasiekami i to w stanie, jak po po ciężkich walkach.

TOMASZ SZCZERBICKI


Fot. W. Sadowski


Fot. W. Sadowski


Fot. T. Szczerbicki


Fot. T. Szczerbicki


Fot. T. Szczerbicki


Fot. W. Sadowski


Szpaler jurnych, choć mocno leciwych, Jeepów Willysów MB.

Krajobraz w kolorze khaki

FOT. AUTOR

Pisząc o jeździe po bezdrożach zajmowaliśmy się dotychczas różnego rodzaju lekkimi – cywilnymi lub wojskowymi samochodami terenowymi. Zapomnieliśmy, że do tego celu stworzone zostały również czołgi, transportery opancerzone, amfibie i wielkie ciężarówki.

Kolekcjonerstwo militarnych pojazdów terenowych jest zupełnie nowym zjawiskiem w naszym kraju. Jeszcze 10 lat temu, któż mógł marzyć o legalnym posiadaniu własnego czołgu, ciężkiego transportera opancerzonego lub amfibii? To drogie hobby, jednak mimo to obecnie zbieraniem, renowacją i hobbystycznym używaniem tego typu pojazdów zajmuje się w Polsce kilkadziesiąt osób. Natomiast sympatyków tej zabawy można liczyć na tysiące.

Polska, wbrew pozorom, jest krajem bardzo ciekawym do uprawiania tego rodzaju pasji. Nasza ziemia, jeziora, bagna i rzeki kryją zapewne jeszcze wiele ciekawych i unikalnych terenowych pojazdów militarnych, pozostałych po Kampanii Wrześniowej lub walkach w latach 1944 - 1945.

Właśnie jeden z podstawowych nurtów tego hobby to odnajdywanie pojazdów z czasów ostatniej wojny. Najbardziej spektakularnym wydarzeniem ostatnich lat było wydobycie z dna Wisły 3 małych, amerykańskich amfibii Ford GPA, którymi grupa żołnierzy z I Armii Wojska Polskiego starała się przedostać na pomoc walczącej, powstańczej Warszawie. Innym znaczącym wydarzeniem było wydobycie z dna Pilicy niemieckiego transportera, który po gruntownej renowacji i doprowadzeniu do stanu pełnej sprawności stał się jedną z największych atrakcji imprez gromadzących miłośników militariów. Odnaleziono też wiele innych rzadko dziś spotykanych pojazdów.

Drugi główny nurt tego hobby to kolekcjonerstwo radzieckiego sprzętu wojskowego z lat 1945 - 1980. Najbardziej charakterystycznym przedstawicielem tej grupy pojazdów wydaje się samochód Gaz 69 oraz czołg T-34. Za sprawą wstąpienia Polski do struktur NATO nasza armia, od paru lat, sukcesywnie pozbywa się wysłużonego sprzętu skonstruowanego przez sowietów. Legalną sprzedażą tych pojazdów zajmuje się Agencja Mienia Wojskowego (Warszawa, tel. (0-22) 685-24-43 lub 685-20-49).

W tym roku odbyły się w naszym kraju dwa duże spotkania posiadaczy pojazdów militarnych. Zorganizowano również kilka mniejszych, lokalnych zlotów. Wszystkie imprezy nosiły charakter ogólnodostępnych, co stanowiło nie lada gratkę dla miłośników tych pojazdów, stanowiło bowiem szansę dokładnego ich obejrzenia i poznania.

Pierwszy zlot odbył się w połowie czerwca w Pożdżenicach (ok.200 km na południe od Warszawy). Była to już czwarta edycja tej imprezy, która po raz pierwszy odbyła się w roku 1996. Na spotkanie przyjechało blisko 100 pojazdów. W przeważającej ilości uczestnikami tej imprezy byli posiadacze zabytkowych pojazdów militarnych z czasu II Wojny Światowej i właściciele lekkiej "kawalerii" produkcji radzieckiej, a więc samochodów GAZ 67, GAZ 69, UAZ oraz motocykli - M-72, K-750, Ural. Liczną reprezentację stanowiły amerykańskie Jeepy Willysy MB z okresu walk z najeźdźcą. Samochody te znalazły się w Polsce za sprawą porozumienia rządów Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych znanego jako „Lend Lease Aid Program". W Pożdżenicach można więc było podziwiać 10 oryginalnych i w pełni sprawnych Willysów MB, a także 2 bliźniacze Fordy GPW.

Kolejną imprezą, zorganizowaną pod koniec czerwca, z naprawdę dużym rozmachem, był Międzynarodowy Zlot Historycznych Pojazdów Wojskowych w Darłowie. Na to niekonwencjonalne, międzynarodowe spotkanie przybyli posiadacze i miłośnicy pojazdów militarnych z Niemiec, Finlandii, Anglii, USA i oczywiście Polski. Na 8-hektarowym terenie, usytuowanym nad samym morzem, zainscenizowano nawet pole walki. Do jego budowy wykorzystano 4 tony siatek maskujących, ponad 3 tony drutu kolczastego, 5000 worków z piaskiem i ponad 400 drągów. W dniu otwarcia zlotu pojawiło się tam ponad 200 pojazdów. Wśród nich czołgi - Leopard A4, T-34, T-72, PT-76, transportery opancerzone - OT-810, BTR, Half Track, ciężarówki - Kraz, Star, GMC, Chevrolet, Dodge, Tatra, lekkie terenówki - Jeep Willys MB, Hummer, Gaz 67 i 69, VW KdF, DKW Munga, motocykle - Harley-Davidson WLA,

Dokończenie na str. 48


Prawdziwe monstrum - gąsienicowy transporter amfibijny PTS - ciężar własny 18 ton, ładowność na lądzie 5 ton, na wodzie 10 ton, prędkość max. na lądzie 40 km/h, prędkość max. na wodzie 15 km/h.


Niczym nie skrępowane harce na „dzipowisku" - T 34 kontra Leopard A4.


Legenda polskiej motoryzacji - wojskowy LUBLIN 51.

Desant z morza - pływający czołg PT-76.



Swą sprawność, w morskich falach, prezentuje radziecki transporter BTR.




Legendarny radziecki motocykl wojskowy M-72 z pełnym wyposażeniem: wózek boczny, skrzynki amunicyjne, łopaty oraz najważniejszy element - karabin maszynowy.

Krajobraz...

Dokończenie ze str. 47

M-72, K-750, Hercules, BMW, Zundapp oraz wiele innych pojazdów. Niewątpliwą atrakcją był helikopter Bell 206 B, który przyleciał na Darłowską imprezę specjalnie z Niemiec.

Największą atrakcją programu darłowskiego zlotu okazały się być jazdy na tzw. "dzipowisku". Był to teren specjalnie przygotowany do bezkarnego hasania wszelkiego rodzaju pojazdami. Wielu wrażeń dostarczyły też przejażdżki brzegiem morza.

Władze Darłowa zezwoliły uczestnikom imprezy na kilkakrotne wjechanie na plażę, co było nie lada gratką dla czołgów oraz aut terenowych i motocykli.

Na piaszczystej plaży odbywały się też, co kilka godzin, inscenizowane pokazy desantu morskiego z udziałem czołgów i transporterów pływających oraz helikoptera. Muzycznym hitem imprezy stała się zmiksowana wersja (w stylu dyskotekowym) piosenki z filmu „Czterej pancerni i pies" - kultowego przeboju polskich militarystów, o czym można się było przekonać przy nocnym ognisku.

Nie zapomniano również o odwiedzających zlot - mieszkańcach Darłowa i wczasowiczach przebywających akurat w tych okolicach. Za niewielką opłatą (5 - 15 złotych) wszyscy chętni mogli przejechać się starym motocyklem, oryginalnym Jeepem z czasów II okupacji, a nawet wysłużonym czołgiem, by na jego pancerzu móc poczuć się jak „czterej pancerni". Za nieco wyższą opłatą można było przelecieć się helikopterem lub motolotnią, by obejrzeć uczestniczące w zlocie pojazdy z góry. Dla wielu ludzi nie związanych z tym hobby było to dużym przeżyciem.

Na obu imprezach wyraźnie było widać, że to niecodzienne hobby zyskuje coraz więcej aktywnych zwolenników. Duża w tym zasługa organizatorów, którzy zadbali aby każdy najeździł się do woli.

TOMASZ SZCZERBICKI

Radziecki wojskowy motocykl terenowy MW-750 z lat 70. Posiadał dwucylindrowy, dolnozaworowy silnik o poj. 750 cm^3 oraz napęd (wałem Kardana) na tylne koło i koło wózka bocznego.



FOTOREPORTAŻ "AUTO KOMISU"

III MIĘDZYNARODOWY ZJAZD KOLEKCJONERÓW POJAZDÓW MILITARNYCH

Spotkania kolekcjonerów zabytkowych pojazdów militarnych były do tej pory domeną Amerykanów. W Polsce, po raz trzeci, w miejscowości Paździeńce koło Łask ,w dniach 12-14 czerwca odbył się "Miedzynarodowy zlot pojazdow militarnych-1998".

Wzięło w nim udział 290 załóg: z Polski, Niemiec, Austrii, najdłuższą trasę pokonała załoga z USA ciężarówką Sztudebacer. Około 700 uczestników zmagało się w trudnych konkurencjach i w deszczowej pogodzie. Organizatorzy pomysłowo przygotowali teren rajdu. Znajdowały się tam okopy, zapory, worki z piaskiem, słowem każdy mógł znaleźć coś charakterystycznego dla siebie.

Zawodnicy w większości ubrani byli w stroje odpowiadające epoce i stylowi swoich pojazdów. Mogliśmy spotkać Rosyjskiego generała, żołnierzy Wermachtu i polskich partyzantów. Dojechały czołgi, gąsienicowe transportery, ciężarówki z okresu II wojny światowej, Jeepy, Willysy, Dodge, Volkswagen KDF a nawet amfibia Gaz 46, MAW z Niemiec, oraz najróżniejsze motocykle. Nie zabrakło wśród nich Polskiego Sokoła. Były: Harley-Davidsony, DKW, MSU, Zundappy, M-72, Urale.

Największą kolekcję pojazdów militarnych wystawili bracia Kęszyccy, między innymi Rosyjski czołg T-34 i znakomicie odrestaurowany Niemiecki samochód pancerny na gąsienicach-niegdyś wydobyty z Pilicy.

Muzeum motoryzacji z Otrębusów wystawiło motocykl Zundapp z koszem z II wojny światowej.

Dużą atrakcją cieszyły się wyścigi pojazdów gąsienicowych, parada pojazdów która odbywała się w Łasku w sobotę, oraz pokazy pirotechniczne w wykonaniu zawodowych żołnierzy.

Wieczorem miłośnicy i pasjonaci pojazdów militarnych zasiedli przy wspólnym ognisku.

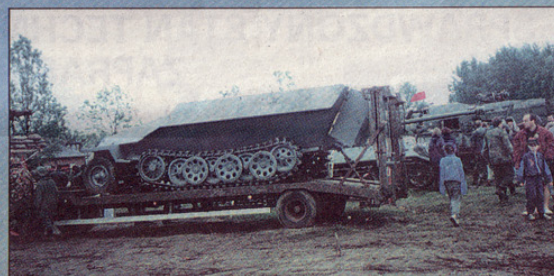
Spotkanie zakończyło się w niedzielę. Po mszy polowej kolekcjonerzy z miłymi wrażeniami rozjechali się do domów.

Komandor rajdu Jacek Pniewski serdecznie zaprasza wszystkich pasjonatów militarii na zlot w przyszłym roku.

tekst i foto Patryk Mikiciuk



Formowanie kolumny na defiladę w Łasku.


Niemiecki samochód pancerny po remoncie w pracowni braci Kęszyckich.


Próba przepłynięcia rzeki Kdf 1940 r. Krzysztof Werkowicz.


Poza pojazdami gąsienicowymi na poligonie najlepiej spisały się Krazy.


Pokazy pirotechniczne w ośrodku wypoczynkowym w Łasku.


Załoga niemiecka na rosyjskim MAVie.




Na zakończenie rajdu Krzysiek utopił swojego Kdf w błocie.


Postój na herbatę na ulicach Łaska.


T-34 z okresu wojennego należący do kolekcji Kęszyckich.


Defilada w Łasku.


Najstarszy na zlocie motocykl Sokół 1000.

Czołgiem do sklepu, czyli militarna pasja pana Jacka



Czołg T – 55 na parkingu przed sklepem w Zelowie, niedaleko prywatnego poligonu, znanego kolekcjonera pojazdów militarnych, pana Jacka Pniewskiego. Jak widać, takim pojazdem może „zabrać się” na zakupy całkiem spora rzesza klientów…

– Każdy kolekcjoner militariów marzy o czołgu, tak samo jak motocyklista o harleyu – mówi Jacek Pniewski, który jest szczęśliwym posiadaczem radzieckiego T-55.

Kupił go od Agencji Mienia Wojskowego z okolic Opola za 10.500 zł. Czołgi sprzedawano wtedy poniżej ceny złomu, aby się ich jak najszybciej pozbyć.
– Właściwie to ja kupiłem inny czołg niż ten, który teraz mam – opowiada pan Jacek. – Kolekcjonerom sprzedawano wtedy uszkodzone pojazdy, które już nie jeździły. Zamieniłem się więc ze złomiarzami, którzy nabyli całkiem sprawny T-55.
Mieszkańcy Kolonii Pożdżenice, gdzie Jacek Pniewski urządził prywatny poligon, oraz pobliskiego Zelowa zdążyli się już przyzwyczaić do widoku czołgu we wsi, ale na początku budził on wśród nich niemałe zdziwienie.
– Kiedyś pojechałem nim do sklepu – opowiada pan Jacek. – Zbiegło się pół wsi, żeby go oglądać, a przy okazji prawie wszyscy robili zakupy. Właściciel jeździł tylko do hurtowni i dowoził przez cały dzień towar.
Pan Jacek pasjonuje się zabytkowymi pojazdami i militariami od dzieciństwa. W VI klasie szkoły podstawowej złożył sobie motocykl z części pochodzących z kilku innych pojazdów.
– Zawsze miałem smykałkę do majsterkowania – mówi.
Jak sam przyznaje, od dzieciństwa marzył też o motorze z koszem. Taki, który był spełnieniem jego młodzieńczych marzeń, M-72, czyli radziecka kopia bmw, stał w stodole u sąsiada, ale właściciel nie chciał go sprzedać.
– Tak bardzo chciałem go mieć, że zamiast notować to, co się działo na lekcjach, z tyłu zeszytów rysowałem, w jaki sposób go przerobię – wspomina pan Jacek. – Kiedy byłem w I klasie szkoły średniej, właściciel tego motoru zmarł. Pożyczyłem wtedy od wszystkich członków rodziny i znajomych pieniądze i za 57 tysięcy złotych kupiłem wymarzony M-72. Za taką kwotę można było wtedy mieć kilkanaście WSK.
Gdy marzenie młodego miłośnika zabytkowych pojazdów się spełniło, we wsi, w której mieszkał, pojawił się prawdziwy amerykański harley-davidson z okresu II wojny światowej.





Taki „znak drogowy" jest zadziwiający wyłącznie dla przybyszów, spoza Zelowa. Na mieszkańcach miasta i pobliskiej Kolonii Pożdżenice, gdzie jeżdżą prawdziwe czołgi, nie robi już wrażenia…

– Ze swoją radziecką kopią bmw byłem wtedy w cieniu – wspomina pan Jacek. – W końcu kupiłem więc także tamtego harleya, odrestaurowałem go i mam do dziś.

Kiedy młody Jacek Pniewski jeździł na swoich motorach, poznał ludzi również zarażonych pasją do starych pojazdów i militariów.

– Zacząłem je skupować, przekonując chłopów na wsi, by sprzedali to, co mają w stodołach, odwiedzając zapomniane złomy w Europie Zachodniej i szukając w internecie – opowiada kolekcjoner.

Dziś pan Jacek jest właścicielem nie tylko sprawnego czołgu, ale także m.in. transportera na gąsienicach z II wojny światowej, amfibii, którą kupił od Komitetu Przeciwpowodziowego EWG za 1800 zł, samochodu terenowego także z II wojny światowej, który służył jako pojazd dowódczy, oraz jeepa, który był na wojnie w Afganistanie. Pojazdy kolekcjonera spod Zelowa, a także on sam, występowały w wielu polskich filmach, m.in. w „Demonach wojny wg Goi", „Tajemnicy twierdzy szyfrów" i „Złocie dezerterów".

Najważniejszą zdobyczą pana Jacka, jak dotąd, jest oczywiście czołg. Staje się on atrakcją festynów, na które zapraszany jest kolekcjoner, czy organizowanych przez niego zlotów pojazdów militarnych.

– W weekendy przyjeżdżają całe rodziny, które chcą obejrzeć mój czołg – mówi kolekcjoner. – Szczególne zainteresowanie budzi on oczywiście wśród dzieci.

Czołg pana Jacka pochodzi z lat 50. ubiegłego wieku. Jego historia jest jednak bliżej nieznana. Pojazd jest całkiem sprawny, ale w eksploatacji bardzo drogi.

– Beczka ropy kosztuje tysiąc złotych – mówi Jacek Pniewski. – Nawet nie wiem, ile kilometrów da się na niej przejechać, bo gdy odpalę czołg, to zawsze jeżdżę nim do oporu, aż skończy się paliwo.

Pan Jacek teraz jeździ czołgiem głównie po prywatnym poligonie, który stworzył na swojej kilkuhektarowej działce koło Zelowa. Wcześniej wyjeżdżał także na pobliskie ulice.

– Gdy po raz pierwszy wsiadłem do czołgu, to spaliłem sprzęgło i wykosiłem po drodze kilka drzew – przyznaje z uśmiechem.

autor: Paweł Łacheta „EXPRESS ILUSTROWANY" z dnia: 12. Lipca 2014 roku



Jacek Pniewski na swoim wymarzonym, oryginalnym motocyklu „Harley Davidson", będącym na wyposażeniu US – Army od czasów II międzywojennych.



Ten egzemplarz służył zapewne w Armii Czerwonej w ramach amerykańskiego wsparcia Lend – Lease*

* Lend-Lease Act – ustawa federalna z 11 marca 1941 roku, zezwalająca prezydentowi Stanów Zjednoczonych „sprzedawać, przenosić własność, wymieniać, wydzierżawiać, pożyczać i w jakikolwiek inny sposób udostępniać innym rządom dowolne produkty ze sfery obronności".





Radziecki motocykl m-ki „Ural”, rozwinięcie bazowego M-72, powstałego na niemieckiej licencji BMW. Motocykle te były od lat 40-tych, masowo na wyposażeniu wojskowym ZSRR, trafiały także do służb państwowych, osób prywatnych oraz na eksport do armii Układu Warszawskiego.



Amerykański transporter Half – Track Personnel Carrier M3 z II wojny światowej.



Wojskowy, terenowy samochód m-ki „Mercedes”, z wyposażenia niemieckiej Bundeswehry.



Koło napędowe i fragment układu jezdnego z niemieckich: Pzkfw – III lub IV, podstawowych czołgów sił zbrojnych III Rzeszy. Na bazie tych maszyn, Niemcy konstruowali Działa Samobieżne, skutecznie używane do zwalczania broni pancernej nieprzyjaciela.

W tle zabytkowy ciągnik rolniczy… oraz fragment domu mieszkalnego, skąd roztacza się widok na takie właśnie zabytki techniki i sprzętu wojskowego.



Gąsienica czołgu niemieckiego Panzer – IV (Pzkfw – IV), koła napinające oraz z fragment komory nabojowej i zamek działa: 7,5 cm KwK 40(7,5 cm Kampfwagenkanone 40) - niemiecka armata czołgowa kalibru 75 mm z okresu II wojny światowej używana jako główne uzbrojenie czołgu średniego PzKpfw IV od wersji Ausf. F2, a także dział pancernych Sturmgeschütz III i Sturmgeschütz IV (jako uzbrojenie dział pancernych znane było jako StuK 40 - Sturmkanone 40). Marzeniem pana Jacka, jest posiadanie niemieckiego, sprawnego czołgu z czasów wojny…



Lufa i nasada komory nabojowej czołgowej armaty niemieckiej Kwk 40, kalibru 7,5 cm. Na razie leży „w towarzystwie” drewna przygotowanego na opał. Jest nadzieja, że w przyszłości będzie stanowić wyposażenie odbudowanego czołgu…



Widok na fragment bojowego wozu technicznego, na podwoziu czołgu T 55.
Pojazd ten służył w razie potrzeby to wyciągania i odholowywania uszkodzonych pojazdów pancernych z pola walki.



Fragment wewnętrznych mechanizmów jezdnych czołgu Panzer III lub IV, niemieckiego wozu z czasów II wojny.





Bojowy wóz wsparcia technicznego, motocykl Ural i fragment Jeepa, powojennego, wojskowego samochodu terenowego w barwach armii USA.



Amfibia produkcji radzieckiej, będąca także na wyposażeniu byłego LWP. Podczas licznych zlotów pojazdów militarnych, organizowanych przez pana Jacka Pniewskiego na terenie jego posiadłości we wsi Kolonia Pożdżenice koło Zelowa – jest wielką atrakcją dla wszystkich biorących udział miłośników i obserwatorów.



I wreszcie czołg radziecki T 55, w wyposażenia po byłym LWP. Sprawny, jeżdżący jak za czasów swojej wojskowej służby. Wzbudza zainteresowanie odwiedzających zloty pojazdów militarnych. Czasami jeździ po Zelowie, będąc rozrywką dla mieszkańców i atrakcją dla turystów…





Jak widać, czołg całkiem zgrabnie komponuje się z cywilnymi pojazdami. Pan Jacek jest jak na razie, jedynym, dumnym posiadaczem takiego wehikułu w okolicy.
Może ktoś kiedyś pójdzie w jego ślady?











Wnętrze czołgu też prezentuje się całkiem ciekawie. To miejsce mechanika – kierowcy…



Widok z wieży…



Terenowy pojazd wojskowy wymaga jeszcze nieco pracy, aby mógł po odzyskaniu pełnej sprawności technicznej, pokazać wszystkim zainteresowanym, na co go jeszcze stać…

Napisy pod zdjęciami eksponatów z bogatej kolekcji pana Jacka Pniewskiego, opracował J. W. major w stanie spoczynku, absolwent nieistniejącej już niestety: Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego (WSOWPanc) – uczelni wojskowj Sił Zbrojnych PRL i III RP funkcjonującej w latach 1967–1993 w Poznaniu. Rocznik 1974.



Wykonano na prośbę archiwum WTTS…

Jacek Pniewski przejechał Afrykę wzdłuż i wszerz

Grzegorz Maliszewski 9 kwietnia 2013, 17:30



foto Piotr Bolko

foto Piotr Bolko





foto Piotr Bolko

Kolekcjoner militariów spod Zelowa zwiedził kolejne miejsca na kuli ziemskiej. Tym razem przygód i wrażeń szukał na kontynencie afrykańskim oraz w Meksyku i Gwatemali.

Jacek Pniewski, przedsiębiorca i kolekcjoner militariów spod Zelowa, nie potrafi dłużej zagrzać miejsca w domu. Przez lata był znany z tego, że na swoim prywatnym poligonie organizował zloty militarne i wyścigi na quadach. Brał też udział w filmach wojennych, udostępniając swoje zabytkowe pojazdy. Teraz ma nową pasję. Ostatnie miesiące dla poszukującego wrażeń wielbiciela motoryzacji i podróży minęły pod znakiem wypraw i to bardzo dalekich. Po motocyklowej podróży szlakami po Stanach Zjednoczonych, Pniewski podjął się kolejnych wyzwań. Wyjechał na Kubę, do Meksyku i na kontynent afrykański. W podróż do Afryki zelowianin pojechał wraz z ekipą eksplorerów "Globall 2012" z Krakowa.

– Chłopaków z tej ekipy poznałem podczas jednej z wypraw na Ukrainę, gdy dowiedziałem się o ich pomyśle podróży do Afryki, chciałem koniecznie z nimi pojechać - opowiada Pniewski.

W ciągu trzech miesięcy kilkunastoosobowa ekipa przemierzyła tysiące kilometrów po afrykańskich drogach. Kawalkada pięciu jeepów przejechała m.in. RPA, Sudan, Egipt, Kenię, Etiopię, Izrael, Cypr, a w drodze powrotnej także wiele europejskich krajów. Eksplorerzy z okazji piłkarskiego euroczempionatu w Polsce i na Ukrainie, który odbył się w ubiegłym roku, zawieźli dla dzieci w Afryce tysiąc piłek.

- To było jedno z zadań, jednak podstawowym celem była przygoda i poznanie kontynentu oraz ludzi, którzy go zamieszkują - mówi Jacek Pniewski.

Podróż po Czarnym Lądzie Pniewskiemu i jego towarzyszom przyniosło tyle niezwykłych i niecodziennych zdarzeń, że można byłoby napisać o tym ciekawą książkę podróżniczą. Zelowianin podkreśla, że ludzie w Afryce wciąż żyją tak jak przed wielu laty. Zaskoczyło go jednak to, że wbrew temu co często mówi się w telewizji, mieszkańcy, których napotykali na swojej drodze, byli niezwykle radośni i przyjaźni.Pniewski podkreśla, że dla niego uosobieniem afrykańskiego kontynentu była Etiopia pełna bezkresnych krajobrazów, piasków pustyni i dzikiej zwierzyny. Jak mówi, nie obyło się bez przygód. Jeden z członków ekipy został zaatakowany przez szakala, który odgryzł mu... kawałek nosa.

- Zawieźliśmy go do szpitala i na szczęście wszystko skończyło się dobrze, bo kolega wrócił w jednym kawałku - wspomina Pniewski. Nie obyło się też bez zabawnych historii. W jednej z wiosek miejscowi ekipie podróżników zaproponowali... sprzedaż jednej z żon, za którą chcieli dziesięć krów. Pniewski na jednym z targów kupił sobie za to... prawdziwego afrykańskiego koguta.

- Przejechał ze mną w jeepie całą Afrykę - mówi Jacek Pniewski. - Nawet przy upalnej pogodzie, kiedy temperatura w kabinie sięgała 50 stopni Celsjusza i topiły się plastikowe elementy w samochodzie, mój towarzysz podróży nie narzekał - śmieje się.

Zelowianin najadł się strachu podczas powrotu na granicy z Izraelem, kiedy wjeżdżał na prom kogut zaczął... piać. - Wystraszyliśmy się, bo na prom nie można było wnosić żywych zwierząt. Celnikom wytłumaczyliśmy, że to dzwonek telefonu - mówi Pniewski. - Dziś kogut mieszka pod Zelowem na mojej farmie i ma cały harem polskich kur - śmieje się podróżnik.

Jak podkreśla, podczas podróży spotkali się też z niezwykłą gościnnością mieszkańców Czarnego Lądu. W niektórych wioskach gościli nawet po kilka dni, bo miejscowi nie chcieli ich wypuścić. Podróżnik przyznaje jednak, że podróż po afrykańskich bezdrożach to nie tylko same przyjemności, ale też konieczność zmierzenia się z wieloma przeciwnościami.

- Przez te kilka miesięcy musieliśmy często naprawiać auta, którymi podróżowaliśmy. Mocno odczuwalne też były wysokie temperatury - przyznaje Pniewski.

Na początku tego roku zelowianin pojechał do Meksyku i Gwatemali. Tam podróżował, jak mówi, lokalnymi środkami transportu. - Szczególnie ciekawie było na peryferiach z dala od centrów miast, gdzie można było spotkać Majów czy imponujące budowle pozostałe po ich cywilizacji - mówi Jacek Pniewski.
- Dla mnie kwintesencją podróżowania jest właśnie bycie blisko ludzi, obyczajów i natury danego kraju. Tego nie można doświadczyć jadąc z biurem turystycznym, dlatego wolę samemu przygotowywać swoje wyprawy - dodaje. Pniewski w najbliższych miesiącach planuje wybrać się na motocyklowy rajd do Kalifornii. Natomiast latem ponownie chce przemierzyć ukraińskie stepy.



Jacek Pniewski, znany kolekcjoner pojazdów militarnych, organizator zlotów właścicieli i fanów techniki wojskowej w okolicach Zelowa. Obecnie podróżnik - przemierzający świat wzdłuż i wszerz, w poszukiwaniu przygód, poznający nowe kraje i ludzi zamieszkujących egzotyczne, mało znane miejsca...



Kiedy panie Jacku, złoży pan "do kupy" PzKpfw - IV?

